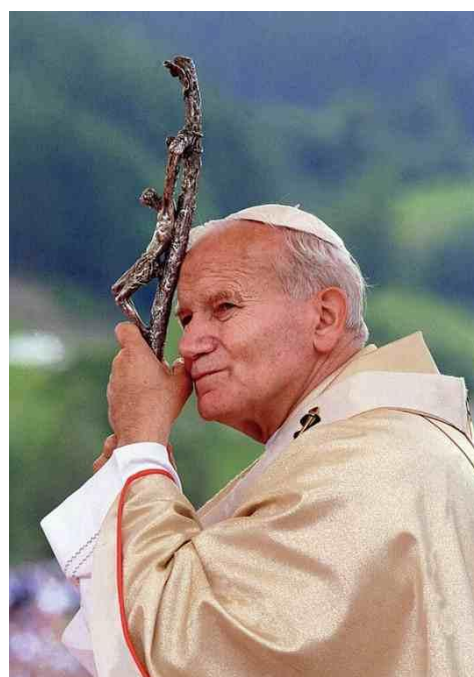
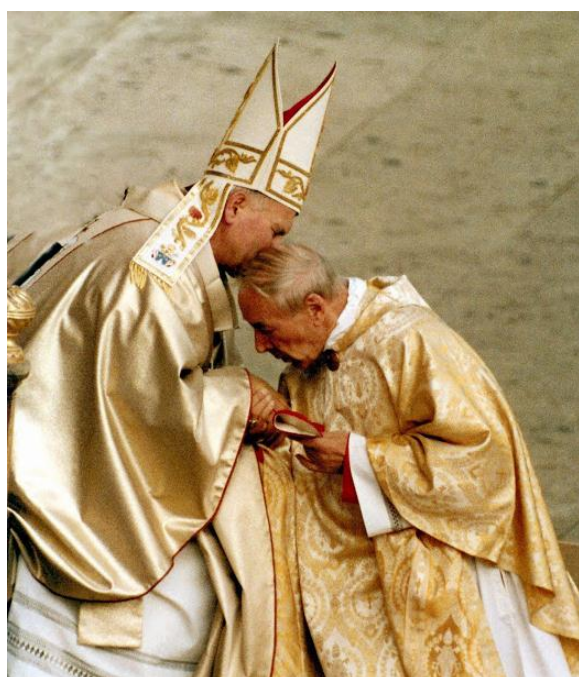


ZESZYTY JAGIELLOŃSKIE

PISMO UCZNIÓW, NAUCZYCIELI I PRZYJACIÓŁ
LO im. KRÓLA WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY W PŁOCKU
NR 93 KWIECIEŃ 2014, PISMO UKAZUJE SIĘ OD ROKU 2000

**Międzyszkolny Klub Myśli Polskiej
w Liceum im. Władysława Jagiełły w Płocku
na uroczystość kanonizacji Jana Pawła II
27 kwietnia 2014 roku**



***Dziedzictwo myśli
Prymasa Stefana Wyszyńskiego
oraz Karola Wojtyły - Jana Pawła II
dla Polski i Polaków***

Prymas i Papież



Dwaj giganci polskiego ducha w XX wieku swoim nauczaniem zwracają uwagę na kwestie, które tracimy z pola widzenia w procesie przemian. Proponujemy namysł nad tekstami Prymasa i Papieża w czterech kluczowych sprawach:

- *jak ocalić polskość, naszą kulturową tożsamość w Europie?*
- *jak uzdrowić polską pracę i zagwarantować w niej czas wolny dla refleksji, dla rozwoju duchowego, dla wartości wyższych?*
- *jak podnieść moralną kondycję Polaków, jak dostrzec wagę osobistego przykładu w rozwoju moralnym?*
- *jak w świecie, który już się niczego nie wstydzi, przywrócić wartość wstydu?*

Zeszyty Jagiellońskie. Pismo Uczniów, Nauczycieli i Przyjaciół Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Władysława Jagielly w Płocku

Redakcja: ul. 3 Maja 4, 09 – 402 Płock; <http://www.jagiellonka.plock.pl>; (024) 364-59-20

lwjszkola@jagiellonka.plock.pl;

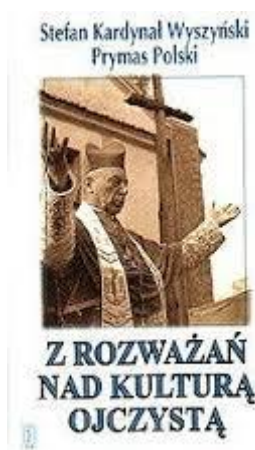
Opiekun merytoryczny projektu: Tomasz Zbrzezny. Opiekun zespołu: Wiesław Kopeć, wkopec1@wp.pl

Zespół redakcyjny: członkowie Międzyszkolnego Klubu Myśli Polskiej.

On uformował przyszłego Papieża



Stefan Kardynał Wyszyński Prymas Polski



STEFAN KARDYNAŁ WYSZYŃSKI **Z rozważań nad kulturą ojczystą**

PŁOCK – CZERWIŃSK – GRUNWALD – KONSTANCJA – JASNA GÓRA

Z dziejów Narodu Milenijnego

Stojąc w tej romańskiej Bazylice, sercami korzmy się przed Bogiem w Trójcy Świętej Jedynym, przed Oblubienicą Trójcy Świętej - Maryją, i przed postaciami historycznymi, które przeszły przez naszą ziemię, czyniąc dobrze. Pamiętamy, że podobnie jak w Gnieźnie, Poznaniu, Krakowie i Warszawie, **tak i tutaj, w Płocku, stoimy wobec grobów**

królewskich. Stajemy wobec **majestatu Rzeczypospolitej chrześcijańskiej**, w obliczu mocy, która **zaślubiła w ziemi naszej Kościół i Naród**. Współdziałanie chrzczącego Kościoła i chrzczonego Narodu było szczególnie owocne, jak to wykazał w swych historycznych rozważaniach biskup plocki. Polscy biskupi wchodzą do tej Katedry z taką czcią, z jaką wchodzili do Katedry Gnieźnieńskiej, Poznańskiej, Krakowskiej czy Warszawskiej. Patrzymy tu na **ślady owocnego i trwałego współdziałania Kościoła i Narodu, żyjącego kulturą chrześcijańską**, którą w ziemi polskiej tworzył spolem Kościół i Naród ochrzczony.

Nasza cześć potęguje się na wspomnienie młodzieńczej postaci syna ziemi mazowieckiej, świętego Stanisława Kostki, którego jubileusz obchodzić będzie w roku przyszłym diecezja plocka, cała Polska, Austria i Rzym.

Dzieci najmilsze! Mając serca podniesione ku Ojcu narodów, lepiej rozumiemy polecenie Pana naszego Jezusa Chrystusa, który przed dwoma tysiącami lat powiedział do garstki swych uczniów, Apostołów: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je...” (Mt 28,19). Mandat Chrystusowy dotarł i do nas. Biskupi polscy, następcy Apostołów, wiernie ten mandat wykonywali w ziemi naszej, idąc przez nią, nauczając i chrzcząc dzieci Narodu polskiego. Sprawowali „Gody Chrystusowe”, radosne **zaślubiny naszego Narodu z Chrystusem**, żyjącym w Kościele, działającym i uświęcającym go.

Odnawiamy ślady

Chociaż kilka rzutów historycznych wydobędziemy z **dziesięciowiekowej księgi dziejów ochrzczonego Narodu**. Dzisiaj, w dniu 12 listopada, katolicka Polska czci pamięć Pięciu Męczenników, zwanych „Polskimi”. Wystarczy rzucić kilka dat. Przypomną one **doniosłe dzieje pierwszych świadków**, którzy w ziemi polskiej dawali Chrystusowi świadectwo krwią, wysączoną z ich żył w glebę ojczystą. **Jest rok 1003**. Według tradycji historycznej, dotychczas nie podważanej, w dalekim Międzyrzeczu **oddaje swoje życie pięciu zakonników**: dwaj Włosi i trzej Polacy, chcąc dochować wierności Prawdzie, którą wypowiedzieli wobec ludzi krzywdzących ich niesprawiedliwie.

Sprowadził ich Bolesław Chrobry i osadził na szlaku, wiodącym od Wrocławia, poprzez Opole i Gorzów, ku Szczecinowi. **Ślady ich życia zostały tam zatarte przez nieprzyjazną dłoń. Chcemy te ślady odnowić**, dlatego niedawno biskup wrocławski wielkodusznie przekazał relikwie męczenników Prawdy biskupowi gorzowskiemu, który z wielką czcią umieścił je w Międzyrzeczu, gdzie według tradycji oddali swe życie za Chrystusa.

Wspominamy o tym, bo uważamy, że przez ten akt, tak zdawałoby się niepozorny, iż go prasa nie zanotowała, zostały odnowione ślady, które już przed tysiącem lat stawał Kościół Boży w swoich męczennikach na ziemiach, po wiekach odzyskanych. Odnawiamy te ślady dzisiaj, aby wszystkim było wiadomo, że jak za czasów Bolesława Chrobrego obecna była na tych ziemiach polska ofiarna krew, wyznająca Chrystusa, **tak i dziś - współczesne pokolenie wraca na ślady swych rodaków**, przychodząc tu w imię Boże.

Koniec X wieku to czasy wyjątkowo błogosławione dla Polski, która w swym pierwszym historycznym księciu Mieszku zaledwie przed kilkadziesiąt laty pochyliła czoło przed źródłem wody chrzcielnej i otworzyła serce Trójcy Świętej. W tych błogosławionych dniach **święty Wojciech** idzie przez ziemię polską od Pragi czeskiej przez Wrocław i Opole, „bursztynowym szlakiem”, ku Gnieznu. Tam wzmocniony przez **króla Bolesława Chrobrego, który miał szczególnie talent skupiania przy sobie wielkich ludzi**, idzie dalej przez ziemię kujawską, prawdopodobnie szlakiem rzeki Zgłowiączki ku Wiśle, aby przekroczyć granice Polski i wejść w imię Krzyża na ziemię pruską, ku Bałtykowi. Tam skończy swoje życie męczeńską śmiercią.

Nie kończy się jednak jego działanie. **Jest rok 997**. Męczeńskie relikwie świętego Wojciecha wracają wkrótce do **Gniezna**, gdzie do dziś dnia odbierają cześć. Jego obecność w Gnieźnie sprawia, że w trzy lata później przybywa tu Pielgrzymka w imię jedności oraz współdziałania Stolicy Świętej i wielu narodów. Młody imperator Rzymu Otto III klęka z Bolesławem Chrobrym i wysłannikami papieża Sylwestra II przy grobowcu świętego Wojciecha. Razem ogłaszają wolę papieża: **Polska ochrzczona zaledwie przed 34 laty, zyskuje samodzielną metropolię gnieźnieńską**, w skład której wchodzi diecezje: gnieźnieńska, kołobrzewska, wrocławska i krakowska. Przedstawiciele tych diecezji widzicie tutaj, najmilszy - biskupa gorzowskiego, arcybiskupa wrocławskiego i metropolitę krakowskiego. Wydaje się, jakby sam Bóg złotą klamrą swej woli związał i zjednoczył dziejową ciągłość dziesięciu wieków, od grobowca świętego Wojciecha, aż do czasów milenijnej Polski.

Pierwszy biskup chrześcijańskiej Polski miał swą siedzibę w starodawnym Poznaniu, którego przedstawiciela również oglądamy w tej Bazylice Królewskiej, w osobie arcybiskupa poznańskiego. Są to **kamienie budowania trwałej drogi, którą szedł Jezus Chrystus - Droga, Prawda i Życie. Za Nim szedł Naród**, aż do czasów dzisiejszych, a teraz wkracza w „Wiary nowe Tysiąclecie”.

Polska, idąca w swą chrześcijańską przyszłość, od początku miała patronów, którzy głosili Prawdę i przelewali za nią krew, oddając własne życie. To jest niemałe osiągnięcie dla Narodu, który chce tworzyć rzetelną **kulturę chrześcijańską**. Jest to bowiem **kultura prawdy**. Kultura ta **wiąże prawdę z miłością i zobowiązuje nas, abyśmy prawdę czynili w miłości i raczej siebie poświęcili dla prawdy**, byleby tylko nie dać braciom zgorszenia z kłamstwa.

Pierwszy więc podstawowy kamień budowania ładu społecznego jest w Polsce położony. Idźmy dalej...

Lekcja władzy oddanej służbie i obronie człowieka - Grunwald

Z dalekiego Międzyrzecza przenieśmy się nad Wisłę. Oto Czerwińsk, Płock, Grunwald! Stanowią jakby **drugi kamień**, rzucony w kilka wieków później, **pod budowę chrześcijańskiej kultury ochrzczonego Narodu**. Uklękniemy na moment przed Madonną w świątyni czerwińskiej, gdzie przeniósł nas myślą wasz arcypasterz. Pokłońmy się Jej i zechciejmy zagłębić się na chwilę w dalekie dzieje. **Idzie wielka wyprawa**, której zadaniem jest położyć kres wyciskanym łzom, przemocy i bezprawiu, czynionemu – o ludzka przewrotności! - przez zakon krzyżacki.

Zastępy rycerzy przepływają się w Czerwińsku przez Wisłę. Idzie za nimi modlitwa królowej wawelskiej - **Jadwigi**, która swemu małżonkowi, **jako metodę rządzenia, wszczepia rozumienie ceny łez ludzkich**, niesprawiedliwie wyciskanych: „*Kto im łzy powróci?*” - Jagiełło, młody chrześcijanin, już rozumiał cenę ludzkich łez. Idzie więc, aby otoczyć opieką Rzeczypospolitej tych, którym wyciskano łzy i odbierano życie, pożogą i ogniem niszcząc skromną ich chudobę.

Uczestnikami potrzeby grunwaldzkiej byli książęta mazowieccy, których śmiertelne szczątki czci Archikatedra Warszawska. **Wszyscy podążają pod Grunwald**. Co ich prowadzi? Chęć rabunku? - broń Boże! Może żądza władzy? **Prowadzi ich tam pragnienie, by przynieść pokój udręczonym**. Prowadzi ich świadomość, że ludzie giną, że dzieje się największe bezprawie ludziom i samemu Chrystusowi, na którego powołują się ci, co zamiast krzyża, niosą miecz.

Wielka wyprawa zaczyna się od Mszy świętej na polach grunwaldzkich. A potem, w imię Maryi, ruszają. Wymownie opisuje to Sienkiewicz w *Krzyżakach*: „Zdrowaś Maryja, łaski pełna” - stanowiło rytm dla szeregów, które nie umiały jeszcze jak rycerstwo śpiewać:

„Bogurodzico Dziewico, Bogiem sławiona Maryjo”. I rycerstwo, i kmiecie szli od „Madonny Mazowsza” w tym samym duchu i w tej samej myśli, aby spełniła się prośba królowej wawelskiej Jadwigi, by nie wyciskano już łez.

Była to **wyjątkowa bitwa nie tylko dla Polski, ale dla dziejów całej kultury chrześcijańskiej. Dała lekcję, jak trzeba użyć władzy, potęgi i znaczenia, a nawet miecza, by nie wyciskać łez, lecz je osuszać**, brać w opiekę uciśnionych, i w imię Krzyża umacniać pokój między narodami.

Ku zdumieniu całej Europy, nie przygotowanej na taką lekcję, jaką Polska dała pod Grunwaldem, **rycerze fałszywego chrześcijaństwa runęli przed mocą duchową młodego chrześcijanina, Jagielly**. Wszyscy na nowo zrozumieli, czym właściwie jest chrześcijaństwo.

Lekcja obrony wolności sumienia - sobór w Konstancji

A oto nowy akt, jako owoc Grunwaldu: **na soborze w Konstancji**. Po potrzebie grunwaldzkiej zjawia się w Konstancji legacja Polski. Przewodzi jej **Paweł Włodkowic**. Cóż on ma do powiedzenia przedstawicielom ówczesnej chrześcijańskiej potęgi? Pragnie im powiedzieć, że **nie godzi się nawracać mieczem, że sumienie ludzkie i jego wolność jest ważniejsza ponad wszystko, że wolność przekonania i wyznania - nawet błędu! - bardziej odpowiada kulturze ludzkiej aniżeli przemoc i przemocą narzucana prawda**. A cóż dopiero kłamstwo, fałsz, propaganda i najrozmaitsze złudzenia, w imię których odbiera się ludziom prawdę Bożą, by na jej miejsce postawić złudę opinii ludzkiej! Cóż dopiero metody przewycięzania Boga Żywego, by na Jego miejsce stawiać bogów fałszywych!

To właśnie miał do powiedzenia ówczesnej trybunie ludów wysłannik zwycięskiego króla na Soborze Konstancjańskim. Pokazał wielką godność każdego narodu, który choćby maleńki i słaby, ma prawo do życia. Podniósł również na szczyty godność Chrystusowej Ewangelii, którą trzeba przepowiadać nie mieczem, ale miłością i pokojem.

Jest to wskazanie dla wszystkich mocarzy i potentatów, także współczesnych. Właśnie teraz wydano po raz pierwszy w języku angielskim pisma Pawła Włodkowica, wysłannika Polski na Sobór Konstancjański. Dzisiaj na Zachodzie zapoznają się ludzie z tym, co w roku 1410 przeżyła Polska pod Grunwaldem, a w roku 1415 przez swojego syna powiedziała sumieniu świata, w obliczu wszystkich biskupów ówczesnych narodów chrześcijańskich. Był to również potężny blok fundamentu, na którym wsparli się później ludzie, umacniający **prawdziwą kulturę chrześcijańską**.

Lekcja ufności do Maryi - cudowna obrona Jasnej Góry i Milenijny Akt 3 Maja

Takich kamieni Polska chrześcijańska układała wiele. Wystarczy, że oprę się o jeden jeszcze kamień, rzucony w dniach „potopu”, gdy Polska była zalana przez żądne rabunku zastępy Skandynawów. Nikt już nie umiał się im oprzeć, tylko jedna **Jasna Góra!** Król Jan Kazimierz korzył się w dalekim Lwowie i przyzywał Maryję, jako swoją Wspomożycielkę. W swych wiekopomnych królewskich Ślubach ogłosił Ją Królową Polski. **Mógł znaleźć tylu sprzymierzeńców w ówczesnym świecie, a wybrał sobie jedną - Dziewicę Wspomożycielkę**. W ten sposób **Polska dała znów lekcję, jak trzeba ufać dyskretnej mocy, którą Bóg złożył w Dziewicy z Nazaret**, gdy Ją pochwalił: „Bądź pozdrowiona, łaski pełna, Pan z tobą!”. Do dziejów kultury chrześcijańskiej w Polsce, jeszcze mocniej niż przez hymn narodowy „Bogurodzica Dziewica”, wchodzi postać kobieca - Matka Boga Człowieka. **Jej cześć tak dużo wniesie do kultury polskiej**, że do dziś dnia Naród nasz będzie sływał w całym świecie ze swojej szczególnej delikatności i taktu, z jakim odnosi się do kobiety, ucząc się tego na Matce Boga Człowieka, Maryi.

Doszlśmy już do kamienia, który w tym roku w dniu 3 maja, biskupi polscy umocnili na Jasnej Górze i oparli na nim cały Naród, oddając go w **macierzyńską niewolę Maryi**, aby tym heroicznym Aktem wyjednać wolność Kościołowi w świecie współczesnym i w Polsce milenijnej.

Jest to dalszy ciąg wielkiej drogi, jaką przeszliśmy, dając tyle dowodów chrześcijańskiego zmysłu, który zawsze przebijał się przez nasze czyny, nawet w najtrudniejszych chwilach. Bezinteresownie, w duchu żywej wiary, powierzyliśmy się w macierzyńską niewolę Maryi, **aby Polska - swoją modlitwą, pracą i cierpieniem - wyjednała Kościołowi taką wolność**, iżby mógł wykonać wszystkie postanowienia Soboru Watykańskiego II o obecności Kościoła w kulturze i życiu publicznym współczesnego świata.

Rzeczywistość - jedność Narodu przez chrzest i Ewangelię

Po kamieniach, z których wybrałem tylko nieliczne, doszlśmy do rzeczywistości; którą dzisiaj nazywamy **Tysiącleciem Chrześcijaństwa w Narodzie ochrzczonym**. Patrząc na minione dziesięć wieków, możemy stwierdzić jasno, że chrzest, udzielony Mieszkowi 14 kwietnia 966 roku, był otwarciem źródła, które do dziś dnia spływa na głowy rodzących się Polaków, a biskupi polscy i kapłani przez nich ustanowieni wierni są do dnia dzisiejszego Chrystusowemu poleceniu: „*Idźcie i nauczajcie... chrzcząc*”.

Myśląc o tym dzisiaj, widzimy, że **nie ma w dziejach Polski trwalszej ciągłości, jak ciągłość zbawczego strumienia wody chrzcielnej**, która nieustannie płynie przez Polskę, na głowy, serca i dusze Narodu polskiego, od Mieszka I aż do maleńkiego chłopaczka czy dziewczynki, którą dzisiaj ochrztili kapłani w Płocku milenijnym.

Drugi znak ciągłości to obecny w swoim Kościele Chrystus, który powiedział kiedyś: „*Ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata*” (Mt 28,20). I dotrzymał słowa. Sobór Watykański II ukazał nam tę przedziwną obecność, która stanowi misterium Kościoła - to Chrystus, żyjący w nim. Co więcej, Sobór uzupełnił nasze widzenie Kościoła i ukazał obecną w misterium Chrystusa i Kościoła - Matkę Boga Człowieka, Maryję. Chrystus, wierny swoim obietnicom, jest w swoim Kościele. Mówiąc językiem współczesnych biur meldunkowych i urzędów rejestracyjnych, możemy powiedzieć, że nie ma starszego Obywatela w Polsce, jak Chrystus żyjący w Kościele. **Jezus Chrystus, Bóg Człowiek, żyjący w Kościele powszechnym dwa tysiące lat, żyje w ochrzczonej Polsce tysiąc lat!** Jest wytrwały i wierny. Jest wyrozumiały i nie czyni wymówek. Możemy Mu powiedzieć: Jesteśmy słabi i nieudolni, ale dochowaliśmy Tobie, Chryste, wierności. W dniu chrztu Mieszkowego zostało ochrzczonych kilkuset Polaków, a dziś jest nas 30 milionów! Wydaliśmy owoc stokrotny. Może pozwolisz, że dzisiaj troszkę się pochwalimy przed Tobą. My wiemy, że to wszystko jest Twoim dziełem i Twoją miłością, ale jak umieliśmy, tak współdziałaliśmy z Tobą i wierzymy, że skoro wytrwałeś z nami przez tysiąc lat, będziesz z nami przez „Wiary nowe Tysiąclecie”, po wszystkie dni, aż do skończenia dziejów.

Jeszcze jednym świadectwem jest **nauka Chrystusa**: „*Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą*” (Mt 24,35). Wspomniałem świętego Wojciecha i pierwszych męczenników w Polsce. Oni wszyscy posługiwali się tą samą Ewangelią, którą przed chwilą odczytał nam diakon. Ani jedna litera w Zakonie Pańskim nie jest odmieniona dotychczas, aż się wszystko wypełni. Po doświadczeniach Kościoła Chrystusowego, Sobór jeszcze bardziej pragnie obecności Ewangelii, dlatego kazał kapłanom odwrócić się twarzą do ludu Bożego, abyście widzieli i czuli, że Chrystus jest prawdziwy i wierny w swoich zapowiedziach - „*Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą*”. Możemy dzisiaj, w Płocku milenijnym, mówić: „*Panie, dokąd pójdziemy? Słowa żywota wiecznego Ty masz*” (J 6,68).

Wszyscy ochrzczeni w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, są posiadaczami Trójcy Świętej. Bóg w Trójcy Świętej Jedyny napelnił życie, osobowość, dusze i ciała ochrzczonych Polaków. Udziela się każdemu z nas, ale ponieważ jest Jeden w Trójcy Świętej, tworzy z nas wszystkich przedziwną jedność. O tej jedności mówił Chrystus w Wieczerniku: „*Spraw, Ojcze, aby byli jedno, jako Ja i Ty, Ojcze, jedno jesteśmy*” (J 17,21). Taka jest społeczność chrześcijańska, zjednoczona przez Boga Ojca, Boga Syna i Boga Ducha.

Niedawno dokonałem w Warszawie wymownego czynu. Kilka miesięcy temu przyniesiono do mojej rezydencji dziewczynkę, prosząc o chrzest. Jakie ma być imię? „Maria”. - Dobrze. „I Ewa”. - Dobrze. A może zgodzicie się jeszcze na jedno imię. Nadam jej trzecie imię - „Milenium”. Niech się dziewczynka nazywa „Maria, Ewa, Milenium”. Zgodzono się. Przypieczętowaliśmy tym imieniem **świadectwo przedziwnej wspólnoty**. Dzisiaj cały Naród polski jest katolicki i żywi ku Kościołowi i jego pasterzom wielką ufność, którą z radością oglądamy w **Polsce milenijnej**, jak długa i szeroka, na historycznym Szlaku Tysiąclecia. Jest to niewątpliwie zasługa Kościoła, który chrzci Naród polski w imię Boga w Trójcy Świętej Jedynego. Taka jest nasza dzisiejsza rzeczywistość.

Stojąc w tej prastarej Bazylice romańskiej, świadomi przeszłości i współczesnej rzeczywistości, patrzymy ku bramom, przez które wejdziemy w przyszłość. Będziemy nadal szli po kamieniach drogi, wytyczonej przez **chrześcijańską kulturę Narodu**.

Płock, Katedra, 12 listopada 1966

STEFAN KARDYNAŁ WYSZYŃSKI

Bądźcie dumni z waszej przeszłości

Ogłoszenie Kolegiaty Kruszwickiej Bazyliką Mniejszą

W dniu tak doniosłym dla Kolegiaty Kruszwickiej pragnę skierować adres do wszystkich, którzy biorą udział w tej uroczystości. Jedni z nas związani są z tym miejscem przekazami historycznymi i przeszłością, której są dziedzicami; drudzy - rzetelną pracą kapłańską i braterską posługą ludowi Bożemu; jeszcze inni - węzłami przeszłości, która ich trzyma przy żyznej ziemi nadgoplańskiej i każe się szczyścić, że właśnie tutaj ujrzeli światło dzienne, tutaj zostali ochrzczeni i wychowani w Kościele Chrystusowym, w ramionach Narodu polskiego, a dziś pracują rzetelnie, z wielkim trudem - dla lepszej przyszłości kruszwickiego ludu.

Wspomnienia te budzą w naszych sercach radość i dumę. **Przez wieki bowiem trwaliśmy tutaj, na legendarnej ongiś, a dziś historycznej ziemi**. Trwaliśmy i nie ustępowaliśmy z niej. Wkładaliśmy w tę ziemię żywą wiarę i nadzieję, wiązaliśmy się przez miłość z Bogiem i ludźmi, uczyliśmy się patrzeć w daleką przyszłość Narodu i Kościoła. Trwaliśmy tutaj i trwamy nadal. Stąd nasz tytuł do radości dnia dzisiejszego.

Kościół Chrystusowy w liturgii słowa przedstawia nam dziś patrona prastarej Kolegiaty - świętego Piotra. Ukazuje jego trudne, bolesne, a jednak ostatecznie zwycięskie przeżycia. Był powołany przez Chrystusa, był doświadczony, a nawet zranił serce swego Mistrza, ale rany te omył łzami. Później pytany: „*Czy miłujesz Mnie, Piotrze?*” - odpowiedział wielokrotnie: *Panie, Ty wiesz, Ty wszystko wiesz ... Ty wiesz, że Cię miłuję*” (J 21,15-17).

Patron waszej zabytkowej świątyni, waszej parafii i waszych serc, niezłomny w wierności Chrystusowi, staje się Skalą. Opoczystym, pomimo doświadczeń i słabości ludzkiej. Zasłużył sobie na ten zaszczyt. Na tobie, Piotrze, zbuduję Kościół mój - powiedział

Chrystus, Głowa Kościoła, jego ożywczy Duch, misterium i niezwyciężona moc, aż do skończenia świata.

Z woli Chrystusa został Piotr Skalą, Petra, Opoczystym. Na tym budowaniu wszędzie, gdzie Apostoł postawił swe stopy ewangeliczne, budował Chrystus. Najmocniej stanął Piotr swoimi upracowanymi nogami na ziemi nadtybrzańskiej, w Rzymie, na Watykanie. Tam też został wszczepiony ciałem w ziemię i tam trwa, jako opoczyste potężnego budowania, jakim jest najwspanialsza w świecie Bazylika Piotrowa na Watykanie, kryjąca w swych głębinach szczątki grobu świętego Piotra. Jest to opoczyste Kościoła Chrystusowego. Chociaż nad Wiecznym Miastem przeszły burze dziejowe, burze błędów i odstępstw, walk i wojen, chociaż przeszły pochody falang najeźdźczych, Piotr się ostał, bo w Piotrze był Chrystus, a Chrystus mu obiecał: „*Ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata*” (Mt 28,20). Trwa więc Piotr w Rzymie i trwa wszędzie, gdyż jego następcy - papieże - z woli Chrystusa ustanawiają biskupów, polecają ich konsekrować, posyłają na cały świat, aby w każdym miejscu globu ziemskiego wsiewali ziarno dobre i zbierali Chrystusowi do Jego gumien owoc stokrotny.

Szacunek Kościoła dla przeszłości Narodu

W biegu dziejowym ziarno Boże padło i tutaj. Dawne to czasy! Wspominaliśmy je w Roku Milenijnym. Z polecenia następców świętego Piotra - papieży, przyszedł tutaj ongiś następca Apostołów - biskupi i położyli kamienie węgielne nowego budowania. Wrosły one w tę ziemię. Było to budowanie Chrystusowe, na opoczystym. Tak zaczęły się dzieje świętego Kościoła katolickiego w naszej Ojczyźnie.

Dziś, po wiekach, **chodzimy po kamieniach, na których wspierały się dzieje Kościoła polskiego** i związane z nimi **dzieje kultury narodowej, polskiej, kultury chrześcijańskiej - łacińskiej, zachodniej. Odnajdujemy tu ducha chrześcijańskiego**, ducha Ewangelii, mocy nadprzyrodzonych zbawczej łaski Chrystusa; odnajdujemy radosne światła w przeblyskach wiary, nadziei i miłości.

W ziemi nadgoplańskiej odkryto **kamienne ślady dziejów chrześcijaństwa w naszej Ojczyźnie**. Gdy zasiedliśmy nad tymi kamieniami, rozważając przeszłość, gdy patrzyliśmy na zniekształcone nalotami wieków mury dawnych świątyń, gdy zagłębialiśmy się w podziemia **Katedry Gnieźnieńskiej** czy **Poznańskiej** - za każdym razem przypominała się nam ewangeliczna przypowieść: Podobne jest Królestwo Niebieskie do gospodarza, który wydobywa ze skarbca swojego stare i nowe rzeczy... Patrzyliśmy bowiem na rzeczy stare, dawne, ale opierając się o nie, myślą wybiegaliśmy ku nowym...

Nie zapomnę spotkania z pierwszym pasterzem, którego wam posłałem, śp. księdzem prałatem Pawłem Pękackim. Przyszedł tutaj z naszej biskupiej woli i przystąpił do przywracania Kolegiacie jej dawnego piękna. Ale Bóg zabrał go przedwcześnie. Wtedy powiedzieliśmy sobie: Szukamy człowieka, który by podjął się dzieła. Bóg pozwolił, że go znaleźliśmy. Jest nim dzisiejszy wasz duszpasterz, ksiądz kanonik Leon Kijewski, którego pracę widzieliście i którego zasługi znacie. Nie potrzebuję więc nic dodawać, aby nie urazić jego skromności. Wiem, że pracował nie dla siebie, ale dla chwały Bożej. Dzięki jego wysiłkom, wspieranym przez ludzi kompetentnych, doświadczonych, ludzi nauki, i dzięki waszej ofiarności, **zdołaliśmy przywrócić świątyni jej dawną, nieskalaną świetność i wspaniałość**. Świadczy ona o głębokiej kulturze budowlanej naszych praocjów, a zarazem o ich żywej wierze. Świadczy też o wyczuciu **ducha romańskiego**, który się wyraził w tych murach, łukach i gzymsach, w szczegółach i detalach odnowionej, przywróconej do dawnego piękna i czystości stylu, zabytkowej Kolegiaty - **pomnika kultury narodowej**.

To są *vetera*. O dawne rzeczy, wydobywane z przeszłości, oparły się dzieje jednej z najstarszych diecezji polskich - diecezji kujawskiej. Miała ona początkowo swoją stolicę tutaj, w Kruszwicy, dopiero później przeniesiono ją nad Wisłę, do Włocławka. Dlatego też zaprosiliśmy na tę uroczystość następcę biskupów kujawskich, biskupa włocławskiego, aby złożył w tej świątyni Ojcu Niebieskiemu Ofiarę z Chrystusa i był świadkiem historycznej ciągłości tego, co dawne, patrząc ku temu, co przyjdzie - ku nowemu.

Kościół katolicki w Polsce przeszedł w ostatnich dziesiątkach lat przez niemałe doświadczenia, „przez ogień i przez wodę”. Patrzył na pożary świątyń, widział, jak były one wysadzane w powietrze. Został po wojnie straszliwe rumowiska. Niemal we wszystkich biskupich miastach - w Warszawie, Gnieźnie, Lublinie, Poznaniu - zostały zniszczone katedry.

Ale ludzie, mający żywą wiarę w Boga, który jest przecież Panem wieków, nigdy nie opuszczają rąk. Nam tego czynić nie wolno! Owszem, to, co dostrzegaliśmy w tych gruzach, pozwoliło nam sięgnąć do **serca przeszłości historycznej i kultury religijnej Narodu** (...). To, co odkryliśmy tutaj, we fragmentach i szczątkach romańskiej budowli, wzbudziło w nas głęboki szacunek dla przeszłości dziejowej Narodu katolickiego.

Oto *vetera*, dawne, stare rzeczy, które Kościół jako dobry gospodarz wydobywa z przeszłości; opierając się na nich, prowadzi i programuje ku przyszłości.

Kościół ma głęboki szacunek dla dziejów Narodu. Skrętnie zbieramy okruchy dziejowe, jak okruchy ewangeliczne, bo są one zawsze pożywne. Najdrobniejsza okruszyna Ewangelii żywi ducha. Podobnie **okruchy dziejów Narodu są mocą jego ducha. Trzeba więc podawać młodemu pokoleniu to pożywienie**, aby Naród nie zatracił związku z dziejami. **Naród bez dziejów, bez historii, bez przeszłości, staje się wkrótce narodem bez ziemi, narodem bezdomnym, bez przyszłości!** Lepiej, iż opieramy naszą przyszłość na minionych wiekach, niż gdybyśmy ją mieli zacząć dopiero dzisiaj. Nie możemy się wyrzec tego, co przez wieki całe w bólu, cierpieniu, męce i krwi, w pracy i trudzie, w żywej wierze i nadziei, kładzione było w tę ziemię. Ongiś ochrzcił i użyźnił ziemię krwią swoją Jezus Chrystus na Kalwarii. A ten, który Go bardzo miłował, Piotr, ochrzcił razem z Pawłem swoją krwią - Rzym. Tak czynili i w polskiej ziemi następcy Apostołów - uczniowie Chrystusowi i kapłani. **Iluż męczenników stoi u gniazda Kościoła świętego w Polsce!** Ile krwi spłynęło tutaj, w Kruszwicy, użyźniając tę ziemię tak, iż wydała owoc stokrotny!

Dlatego powołujemy się na przeszłość. Dlatego **my, polscy biskupi, stawiamy przed oczyma młodzieży przeszłość. Pragniemy, aby ją znała i w niej się rozmiłowała.** Pragniemy, aby wiedziała, że nie jest z kukułczego gniazda, bo w jej żyłach płynie krew ojców, dziadów i praojców, którzy kiedyś w tę ziemię wkładali trud i pracę, i walczyli o jej byt. W ten sposób potęgowali jeszcze swoje prawo do ziemi.

Ciężkie były próby, przez które przeszła Polska, a zwłaszcza ziemia wielkopolska, piastowskie Gniezno i koleba kruszwicka. **Usiłowano nas przekonać, iż można dzieje tych ziem przekreślić, zniekształcić je w historii i wytłumaczyć światu, że ani plemion polskich, ani chrześcijaństwa nigdy tutaj nie było.** Nie dało się tego uczynić, to były złudzenia! Trzeba jednak o tych próbach wiedzieć i o nich pamiętać. Ktokolwiek miałby kiedyś pokusę, aby nasz Naród z tej ziemi wykorzeńić i wyrwać z jego duszy korzenie chrześcijaństwa - ten by się wielce pomylił! Nie jest to bowiem rzecz możliwa. Musi istnieć nadal „budowanie na opoczystym”.

Dlatego w okresie zbliżającego się Tysiąclecia czyniliśmy wszystko, aby w Gnieźnie, Trzemesznie, Kruszwicy, Strzelnie i innych historycznych miejscach, gdzie są kamienie dawnego budowania, wydobyć je na wierzch i pokazać pokoleniu Tysiąclecia. Idzie o to, **aby młode pokolenie było dumne z naszej przeszłości, aby nie czuło się tułaczem, bezdomnym - dziś tu, a jutro tam — by miało instynkt „zasiedziałości” narodowej, ducha**

obrony i wolę trwania. „Czyńcie sobie ziemię - tę właśnie ziemię – poddaną”. Taka była ongiś wola Stworzyciela nieba i ziemi. Obowiązuje ona i dziś.

Naród polski nawet w czasach najtrudniejszych okazywał niezwykłą prężność, bo zawsze cenił swoją przeszłość i nas tego nauczył. Tobie, droga młodzieży, przypominamy tę przeszłość w świątyniach, tak jak dzisiaj w starodawnej Kolegiacie, już teraz - Bazylice Kruszwickiej.

Dzięki waszemu zaufaniu i pomocy dokonaliśmy wiele. Zdołaliśmy przywrócić waszej świątyni jej dawną świetność i wspaniałość. Koszty były olbrzymie. Jednego jeszcze pragnęlibyśmy, aby wszyscy obywatele miasta to docenili i sprawili, by zaglądający tutaj ludzie mogli dotrzeć do Kolegiaty w kulturalny sposób. Oby doceniono, że **w Kruszwicy najwspanialszym zabytkiem**, którego poszukuje się w katalogach zabytków Europy, jest właśnie **Kolegiata pod wezwaniem Świętych Apostołów Piotra i Pawła!**

Spokój Kościoła wobec przyszłości. Chrystus - Ojcem przyszłego wieku

Opierając się na opoczystym dotychczasowego budowania, jak ewangeliczny gospodarz wyjmujemy ze skarbca nie tylko stare, ale i nowe rzeczy. Nowe rzeczy — to **chrześcijański duch**, przedziwnie odnowiony i prężny po Soborze Watykańskim II. Cały świat się zdumiał, że dwudziestowiekowy Kościół okazał aż tyle siły i świeżości, aż tyle twórczej myśli, energii i wiary. Przez to dał dowód, iż się nie zestarzał, nie jest uwsteczniony, nie wyzbył się nadziei. Kościół może - jak Chrystus - omywać początek swej pracy krwią, poświęcać życie biskupów i kapłanów, jak czasu ostatniej wojny, co wspominaliśmy w Dachau, Kaliszu i Rzymie. Kościół może niekiedy ponieść wielkie straty, ale nigdy nie jest przegrany, nigdy nie jest w kryzysie. Dlaczego? Bo **w Kościele mieści się wielka tajemnica. Jest nią Bóg Żywy, Jezus Chrystus**, który więcej nie umiera, śmierć nad Nim więcej mocy nie ma; jest Bóg zmartwychwstały, Bóg ożywiający, uświęcający, i jednoczący, Bóg napelniający pokojem umysły, wole i serca. Chrystus trwa w Kościele i przez swą obecność Boga nieśmiertelnego daje Kościołowi gwarancję, że i Kościół nie umrze, i nad nim śmierć mocy nie ma. Zapewnił Chrystus: „*Jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata*”. - „*Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą*” (Mt 28,20).

W obliczu wielkich zmian, które idą przez świat, wśród niepokojów, które miotają ludzkością - jedynie Kościół zachowuje spokój, jak przystało na instytucję, która mocno wierzy. A gdzie jest mocna wiara, tam nie ma niepokoju, zwątpień, upadku ducha, tam jest zawsze nadzieja. **Świat współczesny jest pełen niepokoju, męki, oczekiwania nieznanego. Skłonny jest prorokować o swoim bliskim końcu.** Tak myślą ci, którzy pozbyli się wiary w Chrystusa. Ale Kościół, który wie, że Jezus Chrystus nieustannie w nim żyje i nieustannie go odnawia, wie też, że ze wszystkich gruzów zawsze się podniesie. Podniósł się z gruzów imperium rzymskiego, podniósł się ze straszego, pełnego nienawiści potopu najeźdźców hitlerowskich. Dlatego **i dzisiaj, pomimo najrozmaitszych prób i ataków na wiarę, pomimo szerzącego się na świecie laicyzmu i ateizmu, Kościół, ufając Chrystusowi, spokojnie trwa i wierzy.** Dokąd pójdziemy? Słowa żywota wiecznego - słowa życia, a więc przyszłości - Ty masz. Tylko Ty, Chryste!

Naród nasz to wie, bo doświadczył w trudnym czasie wielu złudzeń. Wie, że tylko Chrystus nie czyni złudzeń, tylko On nie wprowadza w błąd. On nadal jest drogą, prawdą i życiem. On przeprowadza wewnętrzną odnowę Kościoła. Ale ta odnowa nie jest na księżycu. Kościół tę odnowę przeprowadza w naszych sercach, w sercach ludu Bożego. **Każdy musi zacząć od siebie.** Nie oczekujemy jakiegoś cudu. Ziarno Boże wsiewane na niwę naszych serc musi wydać owoc stokrotny, z którego będzie pożywny chleb dla przyszłych pokoleń Polski.

Spojrzelismy ku przeszłości, której wyrazem jest ta Bazylika. W jej odmłodzonych murach spokojnie patrzymy w przyszłość. Patrzymy ku Chrystusowi, który jest Ojcem przyszłego wieku, który jest Ojcem dla was, dzieci i młodzieży, i dla was, rodzice katolicy, dla wszystkich obywateli miasta i członków Rodziny parafialnej, dla współczesnych Polan mieszkających nad Gopłem, dla całego Narodu i ludzkości.

Po wielkich przewrotach, przemianach, rozczarowaniach i złudzeniach ocalał tylko Chrystus. Wszyscy wielcy ludzie się zdewaluowali. Stracili w oczach naszych swą wielkość prawdziwą czy sztuczną. A Chrystus wyrósł, stał się znowu pożądanym narodów. Podnoszą się zewsząd na globie nieśmiałe głosy: Co nam pozostało? Chyba na nowo wczytać się w Ewangelię i jej duchem odnawiać świat.

Tak **musi patrzeć przez rozwarte wrota starodawnej Kolegiaty Naród polski.** Przybywają tutaj różni ludzie. Nazywamy ich dziś turystami, ongiś - pielgrzymami. Wychodzą stąd w głębokiej zadumie, bo te mury wiele mówią, a kamienie nieustannie przypominają: Tyle wieków i zdarzeń minęło, a Kościół trwa. Nie wiemy dokładnie, którego dnia i roku odprawiono w tej świątyni pierwszą Mszę świętą, ale wiemy, że była ona kiedyś odprawiona. Za chwilę będziemy mieli dowód, że odprawia się dalej. **Nie ma zjawiska trwalszego w Kruszwicy i okolicy nad zespolenie się ludu Bożego wokół kapłana, wspartego przez Chrystusa.** Z oczyma zwróconymi ku Ojcu, który jest w niebie, wołamy i dziś, jak podczas pierwszej Mszy tu odprawionej: „*Święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja*”. Oto jeszcze jeden dowód, że prawdziwie Chrystus zbudował swój Kościół na opoczystym. Słusznie więc czynią ci, którzy budują na Piotrze, Opoce, Skale. Powinniśmy zbierać nasze energie duchowe, narodowe, kulturalne, chrześcijańskie, do dalszego budowania na opoczystym. Bo gdy wszystko wokół traci swą wartość i przestaje być cenione, Chrystus staje się coraz bardziej upragnieniem i pożądanym serc, zjednoczeniem ich, nadzieją ludów i narodów.

Oto „nowe rzeczy”, które Kościół wydobywa dla głodnych rzesz kulturalnego wieku XX. Nie będzie ten wiek ostatni - jak prorokują pesymiści - ani dla Narodu, ani dla Kościoła. Bo Kościół idzie za Chrystusem, a Chrystus jest Ojcem przyszłego wieku. Przy Nim się zatrzymamy. Zaprosimy też do naszych serc Bogurodnicę Dziewicę, Bogiem sławioną Maryję. Wsparci Jej macierzyńskim uczuciem, pójdziemy do Chrystusa i wyznamy: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga Żywego” (Mt 16,17).

Kruszwica, kościół Świętego Piotra i Pawła, 18 września 1970



Jan Paweł II. Gniezno, 3 czerwca 1979 roku. Przemówienie do młodzieży zgromadzonej na Wzgórzu Lecha:

1...pragnę powiedzieć wam krótko na temat, o którym w Gnieźnie musi się coś powiedzieć, na temat Bogurodzicy. Przedtem parę słów na temat autora. Wiadomo, autor nie jest znany. Tradycja przypisuje pochodzenie *Bogurodzicy* św. Wojciechowi — więc na temat św. Wojciecha... Ale jeszcze wprawdzie mówić będę od siebie.

Poprzednik naszego umiłowanego Prymasa, kardynał August Hlond kiedyś, w związku z uroczystością św. Wojciecha, w latach między I a II wojną światową — nie pamiętam dokładnie, w którym roku — odwiedzał Pragę, i w czasie uroczystego zebrania, zaproszony na podium, powiedział tylko jedno zdanie: „Kiedy nadejdą owe Pentecostes Slavae” — Zielone Świątki Słowian... Myślę, że to, co tutaj dzisiaj przeżywamy, jest jakimś echem słów tego wielkiego prymasa Polski niepodległej, Polski dwudziestolecia, Polski okupacyjnej. Przytaczam je ze czcią dla tego, kto te słowa wypowiedział, a zarazem dla tego, kto jest autorem, jeżeli nie *Bogurodzicy*, to przynajmniej inspiracji, z której wzięła ona początek.

Moi drodzy, ***Bogurodzica* jest najstarszym pomnikiem polskiej literatury.** Historia literatury pozwala nam ustalić najstarsze zapisy tej wspaniałej pieśni-orędzia na wiek XV. Mówię: pieśni-orędzia, ponieważ „*Bogurodzica*” jest nie tylko pieśnią. Jest równocześnie wyznaniem wiary, jest polskim symbolem, polskim Credo, jest katechezą, jest nawet dokumentem chrześcijańskiego wychowania. Główne prawdy wiary i zasady moralności weszły w nią. Nie jest tylko zabytkiem. Jest dokumentem życia. Jakub Wujek, który pochodził z wielkopolskiego Wągrowca, najstarszy polski biblista, tłumacz Pisma Świętego, nazywał ją „katechizmem polskim”.

Śpiewamy ją zawsze z głębokim przejęciem, z uniesieniem, pamiętając, że śpiewano ją w momentach uroczystych i decydujących. A czytamy ją z wielkim wzruszeniem. Trudno czytać inaczej te prastare wersety, jeśli się pomyśli, że wychowywały się na nich pokolenia naszych praojców. *Bogurodzica* jest nie tylko zabytkiem kultury. Ona dała kulturze polskiej podstawowy, pierwotny zrąb.

2. Czym jest kultura? Kultura jest wyrazem człowieka. Jest potwierdzeniem człowieczeństwa. Człowiek ją tworzy — i człowiek przez nią tworzy siebie. Tworzy siebie wewnętrznym wysiłkiem ducha: myśli, woli, serca. I równocześnie człowiek tworzy kulturę we wspólnocie z innymi. Kultura jest wyrazem międzyludzkiej komunikacji, współmyślenia i współdziałania ludzi. Powstaje ona na służbie wspólnego dobra — i staje się podstawowym dobrem ludzkich wspólnot.

Kultura jest przede wszystkim dobrem wspólnym narodu. Kultura polska jest dobrem, na którym opiera się życie duchowe Polaków. Ona wyodrębnia nas jako naród. Ona stanowi o nas przez cały ciąg dziejów. Stanowi bardziej niż siła materialna. Bardziej nawet niż granice polityczne. Wiadomo, że naród polski przeszedł przez ciężką próbę utraty niepodległości, która trwała z górą sto lat — a mimo to pośród tej próby pozostał sobą. Pozostał duchowo niepodległy, ponieważ miał swoją kulturę. Więcej jeszcze. Moi kochani: wiemy, że w okresie najtragiczniejszym, w okresie rozbiorów, naród polski tę swoją kulturę ogromnie jeszcze ubogacił i pogłębił, bo tylko tworząc kulturę, można ją zachować.

3. Kultura polska od początku nosi bardzo wyraźne znamiona chrześcijańskie. To nie przypadek, że pierwszym zabytkiem, świadczącym o tej kulturze, jest *Bogurodzica*.

Chrzest, który w ciągu całego milenium przyjmowały pokolenia naszych rodaków, nie tylko wprowadzał ich w tajemnicę śmierci i zmartwychwstania Chrystusa, nie tylko czynił dziećmi Bożymi przez łaskę, ale znajdował stale bogaty rezonans w dziejach myśli, w twórczości artystycznej, w poezji, muzyce, dramacie, plastyce, malarstwie i rzeźbie.

I tak jest do dzisiaj. Inspiracja chrześcijańska nie przestaje być głównym źródłem twórczości polskich artystów. Kultura polska stale płynie szerokim nurtem natchnień mających swoje źródło w Ewangelii. To przyczynia się zarazem do gruntownie humanistycznego charakteru tej kultury — to czyni ją tak głęboko, tak autentycznie ludzką, „...albowiem — jak pisze Mickiewicz w *Księgach pielgrzymstwa polskiego* — cywilizacja, prawdziwie godna człowieka, musi być chrześcijańska”.

W dziejach kultury polskiej odzwierciedla się dusza narodu. Żyją w nich jego dzieje. Jest ona nieustającą szkołą rzetelnego i uczciwego patriotyzmu. Właśnie dlatego też umie stawiać wymagania, umie podtrzymywać ideały, bez których trudno człowiekowi uwierzyć w swoją godność i siebie samego wychować.

4. Te słowa mówi do was człowiek, który swoją duchową formację zawdzięcza od początku polskiej kulturze, polskiej literaturze, polskiej muzyce, plastyce, teatrowi — polskiej historii, polskim tradycjom chrześcijańskim, polskim szkołom, polskim uniwersytetom.

Mówiąc do was, młodych, w ten sposób, pragnę przede wszystkim spłacić dług, jaki zaciągnąłem wobec tego wspaniałego dziedzictwa ducha, jakie zaczęło się od *Bogurodzicy*. Równocześnie zaś pragnę dziś stanąć przed wami z tym dziedzictwem, jako wspólnym dobrem wszystkich Polaków, a zarazem z wybitną częścią europejskiej i ogólnoludzkiej kultury. I proszę was: **Pozostańcie wierni temu dziedzictwu! Uczynicie je podstawą swojego wychowania!** Uczynicie je przedmiotem szlachetnej dumy! Przechowajcie to dziedzictwo! Pomnóżcie to dziedzictwo! Przekazcie je następnym pokoleniom!

STEFAN KARDYNAŁ WYSZYŃSKI

DUCH PRACY LUDZKIEJ
MYŚLI O WARTOŚCI PRACY

(1991)



CZAS PRACY I ODPOCZYNEK

Każda praca zmierza do dokonania. Dokonanie jest spoczynkiem. Każda praca prowadzi do jakiegoś spoczynku.

W związku z tym **dostrzegamy współcześnie dwa dążenia**. Z jednej strony - **mit pracy, gorączka, ubóstwienie pracy**, próba podniesienia jej do najwyższej godności, cnoty, świętości niemal. To właśnie dążenie i jego propaganda doprowadzają do tego, że człowiek współczesny tak jest wyszkolony w ciągłym wysiłku, że niemal boi się wytchnienia. Robotnicy, odzwyczajeni od spoczynku świątecznego częstym nadużywaniem ich pracy przez pracodawców, nie umieją wprost korzystać z dnia wolnego i czują się w nim nieswojo. Do tego stopnia wieloletni przymus wysiłku oderwał człowieka od pragnienia spoczynku, wytworzył w nim gorączkę działania zewnętrznego.

Oto jedno dążenie: największą wydajność pracy, rekord, uznano za nowe hasło pracy.

A drugie dążenie, przewijające się obok pierwszego: **tak urządzić życie, by człowiek mógł pracować jak najkrócej**, dwie, trzy, pięć godzin, aby go wyzwolić z pracy, zastąpić maszyną.

Obydwa te dążenia myśl Boża godziła i rozwiązywała od dawna w prawie Bożym: *Sześć dni będziecie czynić robotę; dnia siódmego... jest odpoczynek święty Panu...* (Wj 31,15) Odpoczynek! A więc przerwanie pracy. **Święty odpoczynek, skierowany ku Panu**. A więc powinien mieć cechę religijną.

Zwróćmy uwagę na te ogólne warunki, które muszą być uwzględnione jako podkład tego wypoczynku. Rozważmy najpierw zagadnienie od strony człowieka pracującego, by później omówić związek odpoczynku doczesnego z religijnym charakterem święta.

Przykazanie Boże poucza, że **praca jest obowiązkiem człowieka, ale nie jest ona najważniejszym obowiązkiem. Bo jest jeszcze większy: odpoczynek święty Panu.**

Okazuje się, że praca jest środkiem rozwoju, udoskonalenia człowieka, ale nie najważniejszym.

Powstaje pytanie: **jak pogodzić dążenie do pracy z potrzebą wypoczynku?** Gdzie jest granica gorliwości w pracy i umiaru w wypoczynku?

Praca ma swoje „brzemie dnia”, swój ciężar dnia, zadanie dnia; ale ma też swój święty tydzień pracy, ma i brzemie życia całego.

Przyjrzyjmy się tym trzem etapom życia ludzkiego.

Brzemie dnia pracy

Czas trwania pracy można określić przez cel trudu dziennego. Co jest jego celem?

Praca dzienna powinna być taka, by zabezpieczała po prostu **największą wydajność materialną**, gospodarczą i **usprawiedliwiała prawo człowieka do słusznej zapłaty**. Słowem - musi powstać wynik, konkretna wartość tej pracy. I to jest pierwsze zadanie dnia. W rachunku sumienia trzeba zadać sobie pytanie: jaki jest rzeczywisty owoc, na który mogę „wskazać palcem”, jaki jest dorobek pracy dzisiejszego dnia, to co usprawiedliwia moje prawo do kawałka chleba? *Godzien jest robotnik zapłaty swojej* - powie Chrystus. Oto owoc pracy, sprawiedliwość w porządku czysto doczesnym, w imię której możemy powiedzieć: *Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...*

A drugie? **Praca dnia dzisiejszego powinna być taka, by przyczyniła się do normalnego rozwoju sprawności i władz osobowych człowieka**. Dlaczego tak? Bo **człowiek musi ciągle dążyć do udoskonalenia wszystkich swych władz - rozumu i woli**, którym urlopu dać nie może. Musi istnieć ciągłość pracy naszych władz duchowych.

Staje przed nami nieustanne pytanie: co w wyniku pracy dnia zdobyłem dla rozwoju swoich władz umysłowych i dla udoskonalenia woli? O ile **praca udoskonala, o tyle brak jej demoralizuje umysł i osłabia wolę**. Dzień pracy musi przyjść ze zwykłą pomocą naszemu umysłowi i naszej woli.

Praca dnia powinna być taka, by nie wyczerpywała wszystkich sił ludzkich. Człowiek kończąc dzień pracy musi rozporządzać jeszcze siłami fizycznymi.

Roztropność, sprawiedliwość każą człowiekowi powstrzymać się od takiego wysiłku, który by wyczerpywał do końca jego siły, boć **praca nie jest najważniejszym zadaniem, nie jest jedynym obowiązkiem dnia i życia**.

Praca dnia powinna być taka, by umożliwiała z pomocą pozostałych sił spełnić inne zadania dzienne życia. **Człowiek schodząc z pracy powinien mieć jeszcze chęć, zapal do spełnienia innych prac**. Powinien mieć jeszcze pewien czas, siły fizyczne i duchowe. „Rerum Novarum” określa to w ten sposób: „...praca dzienna nie powinna wykraczać poza liczbę godzin dozwoloną przez siły ludzkie”. Praca musi ustąpić miejsca innym zadaniom dnia. **Człowiek musi mieć czas na modlitwę, na wypoczynek, na rozmowę w gronie rodziny, na swoje zainteresowania, na świadczenie pomocy bliźnim**. Po skończonej pracy człowiek musi nadal pozostać człowiekiem, istotą społeczną.

Długi czy krótki dzień pracy?

Wylania się zagadnienie: jaki jest lepszy - krótszy czy dłuższy dzień pracy? Zależy to w dużej mierze od właściwości człowieka pracującego, od jego zdolności, talentów, sił. Wiadomo, że są one rozdzielone nierównomiernie. By człowiek mógł spełnić wszystkie swe zadania, dzień pracy nie może być zbyt krótki ani zbyt długi. Błądzą ci, którzy chcą jak najdłuższego dnia pracy, i ci, którzy dążą do trzech lub czterech godzin pracy dziennej.

Dlaczego dzień pracy nie może być zbyt krótki? Przede wszystkim dlatego, że człowiek w pracy wymaga pewnego skupienia, rozwinięcia swych energii, a na to potrzeba czasu.

Dojść do skupienia w pracy nie jest rzeczą łatwą. Początek każdej pracy jest trudny. Przy krótkiej pracy straty na rozproszenie i przygotowanie są zbyt wielkie. Stąd zbyt częste zmiany w pracy nie są pożądane, bo nie są - ekonomicznie biorąc - użyteczne, gdyż ma tu miejsce nadmierne rozproszenie energii i uwagi. Samo przystosowanie się do pracy wymaga czasu. Dlatego też w dobrze urządzonych zakładach pracy unika się zbyt częstych zmian ze względu na psychiczne właściwości człowieka. Wymaga to również specjalnego kierownictwa. Są ludzie uzdolnieni w przystosowaniu się do każdej pracy, a to jest jednak rzadkością.

Ale **dzień pracy nie może też być zbyt długi**, bo praca ludzka wtedy jest wydajna, użyteczna i radosna, gdy odpowiada całkowicie upodobaniu człowieka i nie przekracza jego sił i możliwości. Jest to zagadnienie tak zwanej najlepszej miary czasu pracy, która zapewni jej wszechstronną użyteczność. Czas długości pracy może się bardzo wahać, należy więc go wyszukać.

Doświadczenie codzienne uczy nas, że **jeśli praca jest zbyt długa, to siły się wyczerpują, słabnie napięcie pracy**, pilność maleje, obniża się skuteczność i wartość pracy. Trzeba brać pod uwagę i wzgląd moralny, bo tylko do pewnych granic istnieje moralna odpowiedzialność człowieka. Zaczyna się potem moralna dezorganizacja, za którą odpowiedzialność ponoszą kierownicy pracy, jeśli nie mają wycucia faktycznych możliwości, po przekroczeniu których człowiek pracuje nerwami, a nie w duchu, w jakim Bóg chce, żeby człowiek pracował.

Zbyt długa praca, przekraczająca miarę wytrzymałości człowieka, może stać się szkodliwa i zniechęcająca. Szkodzi ona samej osobie pracownika od strony moralnej, psychicznej, fizycznej, bo jest wyniszczeniem sił. Szkodzi samemu przedmiotowi pracy, bo już nie dba się o sumienność w pracy. Szkodzi również i społeczeństwu, bo ludzie przemęczeni są zazwyczaj zgorzkniali, smutni, przybici, nic ich nie cieszy, nie reagują w sposób normalny. Trudno z takim społeczeństwem dać sobie radę, trudno je do czegoś zapalić.

O czasie trwania pracy nie mogą więc rozstrzygać same tylko czynniki gospodarcze, bo nie są one najwyższym dobrem ludzkim. Zapewne człowiek powinien pracować tak, aby spełnił swój obowiązek współpracy z Bogiem nad wyżywieniem świata i by przez to przyczynił się do pomnożenia dóbr ekonomicznych, by spełnił swe obowiązki moralne; ale jednocześnie człowiek musi tak pracować, by nie zniszczył przedwcześnie swych sił fizycznych i duchowych, i by nie zamienił się na jakiegoś „robotę”, by miał możliwość spełnienia swych obowiązków jako głowa czy też członek rodziny, narodu, społeczeństwa, zawodu, państwa.

Odchodząc od pracy człowiek musi mieć możliwość jeszcze korzystania z życia religijnego, z modlitwy - dla oddania prywatnej i publicznej czci Bogu, musi mieć możliwość i chęć korzystania z dóbr duchowych. Ludzie usprawiedliwiają się nieraz z tego, że nie chodzą do kościoła, gdyż jedynie niedziela pozostaje im na sprawy osobiste, by coś uprać, uszyć, a przede wszystkim... wyspać się. Jeśli ideałem człowieka staje się sen, to znaczy, że praca jest nienormalna.

Brzemie życia pracowitego

Jak powinna wyglądać praca ludzka w stosunku do zadań całego życia ludzkiego?

Ostatecznie, nawet oszczędzane siły ludzkie wyczerpują się bezpowrotnie. Spoczynek nocny odnawia wprawdzie nasze siły, a święto wzmacnia nas do pracy w następnym tygodniu. Przychodzi jednak taki moment, kiedy ani noc, ani święto, ani urlop, ani pobyt w miejscach uzdrowiskowych nic już nie pomagają. *Znikają szybko dni nasze, lata nasze giną jak, westchnienie. Wiek życia naszego lat siedemdziesiąt, a jeśli*

już wiele, osiemdziesiąt lat; co ponadto - to mózół i nęcza (Ps 89,9-10). Wiek, choroby, nieszczęścia, grzech, praca - robią swoje.

Człowiek otrzymał siły od Boga do wypełnienia całości zadań życia. By dojść do doskonałości, trzeba zazwyczaj dłuższego czasu życia. Stąd życie ludzkie - poza wyjątkami - jest dłuższe.

Praca ludzka nie może spalać życia ludzkiego przedwcześnie, bo człowiek nie osiągnie wtedy całości zadań życia. **Ludzie są skłonni do zaniedbywania swych obowiązków względem Boga i własnej duszy; życie wewnętrzne najbardziej jest zagrożone przez nadmiar pracy.**

Nadto w pracy człowiek nabiera sprawności, co przecież przychodzi z latami. Młody człowiek, zaczynający dopiero pracować, w początkach zazwyczaj psuje tylko materiał. Dopiero w późniejszym wieku dochodzi do pewnego doświadczenia, które podnosi wartość człowieka i jego pracy. Wytrawny pracownik jest zazwyczaj starszy wiekiem. Trzeba się więc doczekać dojrzałości lat.

Praca zbyt wyczerpująca fizycznie nie daje możliwości do nabycia cnót i doskonałości moralnych. Hasło wzywające do najbardziej wydajnej pracy fizycznej przekonało, że człowiek pracujący tym systemem może być niezłym pracownikiem przez pewien krótki czas, ale staje się wtedy niezdolny do innych zadań życiowych. Działacze społeczni doszli do wniosku, że **ludzie przepracowani** nie nadają się do pracy społecznej. Ludzie zbyt przepracowani nie są zdolni do wyrobienia w sobie wielu cnót ludzkich.

Zdarza się, że **im bardziej są wykorzystane siły fizyczne, tym słabiej rozwija się życie w innym kierunku, tym mniej postępu w pracy duchowej.** Stąd jednostronność typu ludzkiego, co można zauważyć szczególnie w środowiskach proletariackich i włościańskich.

Taki człowiek może pytać: *Bo cóż za pożytek człowiekowi ze wszystkiej pracy jego i z udręczenia ducha, którym się męczył pod słońcem* (Ekl 2,22).

Ludzie przepracowani łatwo stają się materialistami. Tak pięknie nieraz piszą poeci o pracy na łonie natury. A tymczasem pracownicy nieraz zgoła tej natury nie widzą. Nie mają czasu podziwiać jej piękna. Nie widzą uroku gór, zachodu słońca, cudów roślinności. Gorszą się niekiedy górale z mieszczuchów podziwiających „skola”. Stosunek do przyrody mają często użytkowy i materialny. Jest to następstwo zbyt jednostronnej, ciężkiej pracy.

Należy zabezpieczyć siły ludzkie dla całości zadań życiowych człowieka. Ongiś stwarzano w pracy dłuższe przerwy. „Anioł Pański” kładł kres pracy wieczornej. Nikt nie śmiał pracować dłużej w polu. W Starym Zakonie pracowano również do zachodu słońca. W dniach przedświątecznych nieszpory kończyły dzień pracy - to była dawna „sobota angielska”. Zazwyczaj rzemieślnicy, czeladnicy, majstrowie przychodzili na nieszpory - to było ich nabożeństwo. Znano też dłuższe wypoczynki w związku z okresowymi świętami, jak Wielkanoc, Zielone Świąta. Tak zachwalane dziś urlopy pracowników Kościoła od dawna popierał przez swe wielodniowe święta, które odrywały od przeciążającej pracy. Gdzieniedzie wśród rzemieślników zachował się zwyczaj zaniechania pracy od Wielkiejnocy do Przewodniej Niedzieli.

Dziś znikają święta i zwyczaje z nimi związane. Trzeba je zabezpieczyć, bo są ratunkiem żywego człowieka.

Nadmiar pracy

Ale co zrobić, gdy jest nadmiar pracy? Jak przymnożyć czasu, gdy „Bóg stworzył dzień zbyt krótki, a noc za długą?” Oto trudność do rozwiązania.

Znajdujemy je raczej w wewnętrznej postawie człowieka. Miejsce na czas pracy tkwi w człowieku samym. Chodzi o uporządkowanie naszej wewnętrznej postawy psychicznej

w pracy. Musimy sobie powiedzieć: „*Czyn to, co czynisz*”. Należy unikać rozdwojenia czynności, aby uczynki nasze były *pełne przed Bogiem*. Nakaz skupienia w pracy.

Praca często jest mało wydajna dlatego, że nie posiadamy sztuki skupienia się w pracy, brak jest porządku w myślach i w wykonaniu. **Trzeba więc podnieść wydajność wewnętrzną**. Wiele zła i braku czasu płynie z nieładu wewnętrznego.

Stąd nakaz - unikać rozdwojenia wewnętrznego, unikać rozproszeń. Zagadnienia „braku czasu” nie rozwiąże się przez pośpiech, lecz przez spokój. Zdobywać się na spokój w pracy. Rozproszony pośpiech przymnaża tylko pracy. **Zacząć więc należy od porządkowania naszej wewnętrznej postawy duchowej**.

Ale doniosła jest i nasza organizacja fizyczna, planowość pracy, która też przymnoży czasu. To są już szczegóły, w które wchodzi kierownicy pracy.

Oto tło, na którym dokładniej zrozumiemy Boże przykazanie: *Sześć dni będziecie czynić robotę: dnia siódmego... jest odpoczynek święty Panu...* (Wj 31,15).

ODPOCZYNEK ŚWIĄTECZNY W PRACY

W Księdze Rodzaju, w ostatnich wierszach opisu dzieła stworzenia czytamy: *Dokończone zostały tedy niebiosa i ziemia i wszystka ich ozdoba. I dokonał Bóg w dzień siódmy dzieła swego, które uczynił; i odpoczął w dzień siódmy od wszelkiego dzieła, które sprawił. I błogosławił dniowi siódmemu i uświęcił go, iż weń odpoczął od wszelkiego dzieła swego, które stworzył Bóg, aby uczynił* (Rdz 2,1-3).

Od chwili tego połączenia błogosławieństwa z odpoczynkiem od pracy **dzień siódmy** ma w dziejach świata Bożego dwojakie zadanie: **oddanie czci Bogu i wypoczynek dla znużonego ciała i myśli**.

Bóg błogosławił dniowi siódmemu i poświęcił go

Każda praca jest węzłem, który łączy nas ze światem stworzonym, z bliźnim, z Bogiem.

Przez ten węzeł przyjaźni praca nasza zamienia się w modlitwę. Sercu ludzkiemu nie wystarczy, by dzień cały czy też sześć dni tygodnia poświęcić wiązaniu snopów; aby w pełni było ono rade, musi mieć możliwość w wieczornej porze czy też z końcem znojnego tygodnia ofiarować Bogu związane snopy. I dlatego **sześć dni pracy zawsze przygotowuje siódmy dzień Boży**.

Dni święte są *głosem wołającego na pustyni: gotujcie drogę Pańską, torujcie ścieżki Jego* (Łk 3,4). **Oddać cześć Bogu**, Ojcu wszelkiego stworzenia, życia i łaski, **oderwać się od materii**, wyzwolić się spod jej władczego wpływu, uświadomić sobie, że **nie stworzenie nad człowiekiem, ale człowiek nad stworzeniem panuje**, przypomnieć sobie wspaniałą i najgodniejszą służbę Bogu, dojść doń przez własne uświęcenie, **by się upodobnić do Boga** - oto szczególne zadanie dnia świątecznego.

Wszystkie te zadania ma uprzystępnić człowiekowi dzień wolny od zwykłej, codziennej pracy. Życie bowiem religijne, wypełnienie obowiązków wobec Boga, zaspokojenie potrzeb umysłu i serca - to główny cel wolności od pracy, wolności, która dobrze ma czynić duszy i ciału. Spoczynek bowiem świąteczny nie jest jakąś bezpłodną beczynnością, ale jest... przerwą w pracy, uświęconą wpływem religii. Złączony z religią spoczynek świąteczny odwraca człowieka od trudów i zajęć życia codziennego, a jego myśli kieruje ku rzeczom niebieskim i zachęca go do złożenia hołdu powinnemu Bogu wiecznemu (Encyklika „*Rerum novarum*”).

Dzień świąteczny ma przypomnieć, że oprócz pracy doczesnej są jeszcze inne prace w winnicy własnej duszy. I o tej prawdzie doniosłej należy nieustannie przypominać

zwłaszcza wobec pojawiających się niekiedy dążności do pozbawienia dni świątecznych ich charakteru religijnego.

Przez uświęcenie dnia siódmego prawo człowieka do wypoczynku otoczone zostało murem nienaruszalności. Wszędzie, gdzie zanika przykazanie Boże: *pamiętaj, abyś dzień święty święcił*, **wszędzie, gdzie wypowiada się walkę religii - jednocześnie wzrasta ciężar pracy ludzkiej**, nieustannej orki od kolebki aż do grobu. Najskuteczniej pracują na własną niekorzyść ci właśnie, którzy gwałcą dzień święty, już przez to samo zachęcając do usuwania dni odpoczynku. Pogwałcenie dnia świętego dziś to jutro zgwałcenie prawa człowieka do godziwego wypoczynku. Przed tą pokusą wyzyskiwania sił ludzkich ponad miarę broni pracownika prawo dnia świątecznego.

Pogwałcenie praw ludzi do szukania Boga odbiło się w zdwojonym poczuciu ciężaru pracy, w zniechęceniu do życia, w zaniku jakichkolwiek zainteresowań, w obojętności wobec wszelkich innych obowiązków ludzkich, w przygnębieniu, we wzrastającym poczuciu poniżenia społecznego, w beznadziejności bytowania, w duchu sprzeciwu i buntu. Brak czasu dla Boga, dla własnych dzieci, a tylko ciągła praca... praca...

Bóg „odpoczął” od wszelkiego dzieła swego

Czy nie jest wruszający ten przykład niestrudzonego Boga, oddającego się wypoczynkowi? Wyczuwamy tu właściwe intencje - przykład. Bóg jest Panem nie tylko duszy, ale i ciała naszego i dlatego staje w obronie dzieła rąk swoich, by przedwcześnie nie niszczało.

Stąd wzorem Boga samego **człowiek musi „odpocząć” od dzieł swoich, by ciału dać ulgę, a duchowi odmianę**. W szarzyznę dni pracy, w beznadziejność bytowania w nieustannym trudzie, bez odmiany i przerwy, wprowadził Ojciec Niebieski dzień odpoczynku, ulgi, radości. A słudze swemu, Kościołowi, polecił, by nie szczędził trudu i w życie ludzkie do kodeksów i zbiorów praw państwowych wprowadzał Boże przykazania jako prawo społeczne. Ileż wysiłku musiał Kościół na to poświęcić, by przełamać ludzkie opory, zanim świat uznał prawo do odpoczynku od pracy za zdobycz społeczną i kulturalną!

Zupełny i owocny wypoczynek po pracy możliwy jest tylko w nastroju religijnym dnia świątecznego. Jakie znaczenie dla wypoczynku po pracy ma dzień świąteczny, poznajemy dopiero doświadczalnie. Bardzo jest to wymowne, że wszelkie uroczystości i święta, które z rozkazu Boga wprowadzał Mojżesz, zespały w sobie te dwa cele: religijny – uwielbienie Boga i czysto ludzki - wypoczynek.

Każda praca zmierza do wypoczynku, do stworzenia takiej chwili, w której pracownik, po zaspokojeniu wszystkich swoich potrzeb w pokoju i ciszy zadowolenia, może poznać, że nie samym chlebem żyje człowiek. Tylko w objęciach tego wytchnienia, rozważając dzieło dokonane, człowiek staje w obliczu nieogarnionej i świętej Energii Bożej. Tutaj, w zetknięciu z Bogiem, w wewnętrznym z Nim obcowaniu, człowiek napętnia się miłością, która z kolei rozlewać się będzie w dalszej pracy ze świętą rozrzutnością. W ten sposób praca nasza spoczywa w Bogu i w Nim się zrywa do nowego wysiłku. W ciszy wytchnienia rodzi się Bóg mocy naszej, odnawiający nieustannie młodość naszych dni.

Wypoczynek świąteczny musi być wspólny i społeczny

Oprócz religijnego swego charakteru owocny odpoczynek od pracy wymaga innych jeszcze warunków. Przede wszystkim odpoczynek ten musi być powszechny. Zbiorowy wypoczynek, gdy stajemy się uczestnikami błęgiego wytchnienia, gdy mamy wokół siebie odczucie ulgi uświęcone pokojem uwielbionego Boga - jakże to podnosi i ucisza. Pan i sługa

bliżsi sobie, bo zatarte ślady żmudnej pracy upodobniły ich do siebie, spotkali się w obliczu wspólnego Ojca.

Gdy spoczynkiem objęte jest całe stworzenie i ci wszyscy, którzy bez uszczerbku dla najpilniejszych spraw mogą w nim uczestniczyć, wytwarza się nastrój świąteczny, który podnosi wartość samego wypoczynku fizycznego.

Odpoczynek po pracy musi być nadto społeczny. Cała społeczność ludzka, wszyscy razem i w jednym dniu powinni uczcić Boga przez modlitwę zbiorową i zaprzestanie pracy. Wtedy dopiero, gdy jesteśmy świadkami radości bliźnich, nasze osobiste szczęście nabiera pełni swego wyrazu - w miłości Boga i braci naszych.

RADOŚĆ PRACY

Skąd płyną radości w pracy ludzkiej? Bóg chciał, aby człowiek sam był twórcą swego dobrobytu. Pozbawiając człowieka gotowych narzędzi pracy obdarzył go najcenniejszym darem - rozumem i dłońmi. Właśnie tutaj wytryska źródło wszelkich naszych radości w pracy. Dzięki swym zdolnościom mamy możliwość nieustannego ulepszania, zmieniania własnych narzędzi pracy, uduchowiania całej pracy ludzkiej, każdej, najniższej nawet posługi.

Każda praca uczciwa kończy się ostatecznie po największym nawet trudzie jakąś radością.

W pracy tkwi radość czysto przyrodzona

Nie każda praca jest w równej mierze znojna i uciążliwa; są prace miłe, a nawet w bardzo wyczerpującej pracy są niezwykle podniosłe momenty. Istnieje bowiem jakaś **radość naturalna człowieka triumfującego w dziele tworzenia rzeczy**, które służą potrzebom ludzkim. Istnieją prace, zwłaszcza bardziej zbliżone do przyrody, w których mieści się wiele radości. Rolnik rozpromienia się na widok rosnących zbóż, obfitego plonu, pięknie owocujących drzew.

Czyż nie odczuwamy radości z samego wykorzystywania energii, zdolności, władz fizycznych i duchowych? Oglądajmy te zdrowe, roześmiane, ogorzałe, choć nieraz potem zroszone twarze ludzi odczuwających **wartość użytecznego, twórczego wysiłku**. W tym trudzie fizycznym rozwesela się człowiek.

A przecież stajemy wobec czegoś jeszcze głębszego, wobec świadomości nas samych, a więc już nie tylko zadowolenia płynącego ze sprawności wewnętrznej w pracy, ale wobec poczucia naszej osobowości, która się ujawnia w naszych dziełach i niejako w nich nas przedłuża. Człowiek odczuwa radość niemal Bożą rozważając ślady swej pracy w dziełach materialnych. Podobnie jak Bóg w siedmiu dniach stworzenia stwierdzał wielokrotnie, iż wszystko, co uczynił, było bardzo dobre, tak człowiek w dziełach swoich dostrzega własne podobieństwo.

Ileż to razy **poznajemy mistrza z dzieła, artystę, uczonego, rzemieślnika, rolnika – z owoców ich pracy**. Właśnie te prace wydają świadectwo człowiekowi. Chcąc poznać wartość człowieka pytamy, co robi i czego już dokonał.

W pracy swej widzi człowiek nieustanny rozwój swych zdolności i przymiotów, widzi **rozwój swej osobowości, podnoszące się sprawności fizyczne i duchowe**, o których coraz lepiej świadczą wciąż doskonalsze dzieła. Czyż nas to nie raduje? W tej radości człowiek zupełnie zapomina o ucisku i męce pracy. Jeśli pamięta o trudzie, o przewyżczonych oporach, to czyż te wspomnienia nie dostarczają nowych powodów do radości? Przecież

ludzie życzliwi wyrażają nam podziw i uznanie wtedy szczególnie, gdy przebrnęliśmy przez cały las cierpień i walk.

Gdy praca nasza jest już uwieńczona pomyślnym owocem, gdy długoletnie nieraz wysiłki doprowadziły nas do celu, do wyzwolenia człowieka przez spełnienie jego pragnień - ileż to daje radości! W tym radosnym uniesieniu powstają zazwyczaj plany nowych prac, choć nam wiadomo, że wycisną one znowu pot z czoła, *ciężar dnia i upału*, mękę i ból, bezsenne noce. Ponad to wszystko większa jest radość; nigdy nie zazna jej człowiek oddający się beczynności.

Prawdziwego spoczynku nie zazna też nigdy człowiek, który nie zna umęczenia pracy. Nawet w zabawie pełną radość może mieć tylko człowiek pracujący.

A wreszcie - radość płynąca z poczucia skończenia dzieła użytecznego dla bliźnich. Człowiek cieszy się, że nadał wyrozumowaną formę materii, że uczynił coś na obraz i podobieństwo swoje i przez to właśnie i on, i jego dzieło są pożyteczne, zyskały użyteczność ludzką. Gdy rozważamy dzieło samo, jego dobroć, użyteczność, przydatność, wzięcie u ludzi - rodzi się w nas radość, miłość ku dziełu rąk naszych, podobna do miłości Boga ku światu.

Czyż nie miał słuszności Mędrzec: *I obaczyłem, że nic lepszego nie ma dla człowieka, jeno weselić się w uczynkach swych...* (Ekl 3,1.2).

W pracy ludzkiej istnieją ponadto radości Boże, nadprzyrodzone

Praca ludzka jest bowiem miłością ku Bogu i ku braciom. Jest ona odpowiedzią istoty rozumnej na wezwanie miłości, przez którą Bóg zaprosił nas w niezwykle zaszczytny sposób do współpracy w twórczej swej działalności. Człowiek odgrywa rolę przyczyny drugiej w rządach Opatrzności nad światem.

Stąd płynie **wielka godność człowieka pracującego z Bogiem**, niezwykła dostojność jego pracy - jest to współpraca między człowiekiem a Bogiem i w radościach, i smutkach. Jest to praca modlitwy, uwielbienia i miłości Boga.

Jako taka staje się ona dla nas źródłem nowej wielkiej radości: z zaszczytnego powołania i wyniesienia, z poczucia tego działania „ręka w rękę” ze Stwórcą, z łaski stanu płynącej obficie na prace ludzkie, z łaski uczynkowej przydatnej jako dobry duch wszystkim naszym wysiłkom, trudom i pracom.

Nowa radość płynie z miłości ku ludziom. Jak bardzo jest ona potrzebna w pracy, świadczy św. Paweł: *gdybym na żywienie ubogich rozdał wszystką majątność swoją, a ciało swoje wydał na spalenie, a miłości bym nie miał, nic mi nie pomoże* (1 Kor 13,3).

Wielu to ludzi spała się w pracy! Nie brak i takich, którzy głosząc wyniesienie pracy patrzą na nią przez szkła nienawiści, jak na smutną konieczność. Są to tragedie niemal powszechne, jak praca jest zjawiskiem powszechnym.

A przecież praca ma swe normalne uwieńczenie w miłości ludzi i świata. **Przez pracę powstaje więź z innymi ludźmi** - a to uczy nas miłości. Człowiek pracuje, by tworzyć i odnawiać dobra użyteczne dla bliźnich. Owoc naszej pracy jest dowodem przyjaźni ku ludziom. W tym znaczeniu praca zbliża nas ku miłości bliźnich w Bogu. I dlatego **praca nie może być dokonywana z zaciśniętą pięścią i ze skurczonym sercem**. Jak dłoń, tak i serce muszą się rozwinąć. Inaczej nie ma prawdziwej pracy. Tylko za tę cenę najcięższa praca jak miłość *wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko wytrzyma* (1 Kor 13,7). Wtedy tylko bez nienawiści klasowej zdolna będzie podjąć najcięższe ofiary i dać z siebie te wszystkie cnoty, bez których nie masz owocnej pracy: *...cierpliwa jest, łaskawa jest... nie zazdrości, nie działa obłudnie... nie szuka swego, nie wpada w gniew, nie pamięta urazy... ale współweseli się z prawdą* (1 Kor 13,4-7). Z prawdy! Z tej prawdy, że wszystko

stworzenie napęła się przez rozwarte dłonie ludzkie jak przez otwarte ręce Boże - wszelkim błogosławieństwem.

I jeszcze jedna radość ludzka w pracy, radość prawdziwie Boża. Radość z dokonywanego przez miłosną pracę naszą dzieła odkupienia człowieka. **Łącząc się w pracy aktem miłości ku Bogu, miłością tą ożywiamy nasze trudy**, ocieramy nią pot z naszego czoła.

Podejmując pracę z miłości ku Bogu zostajemy dopuszczeni przez miłosiernego Boga do dzieła niezwykle zaszczytnego i owocnego, do zadośćuczynienia.

Stąd **praca w pocie czoła jest dla nas oczyszczeniem i uszlachetnieniem**. Poczucie wolności zdobytej przez pracę jest najwyższą radością. Spojrzenie w oblicze Boże rozwesela w pośrodku trudu i umęczenia.

Smutek w radość się zamienia!

Jan Paweł II, Encyklika „Laborem exercens”, 1981.

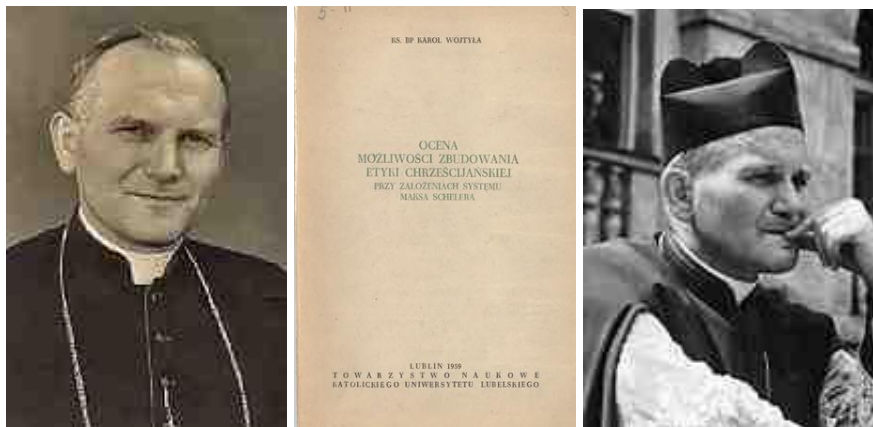
W epoce nowożytnej, od samego początku kształtowania się ery przemysłowej, **chrześcijańska prawda o pracy musiała się przeciwstawić różnym kierunkom myślenia materialistycznego i ekonomistycznego**. Niektórzy zwolennicy takich idei pojmowali i traktowali pracę jako pewnego rodzaju „towar”, który pracownik — w szczególności robotnik w przemyśle — „sprzedaje” pracodawcy, a zarazem posiadaczowi kapitału, czyli zespołu narzędzi i środków umożliwiających produkcję. Ten sposób rozumienia pracy był głoszony dawniej, zwłaszcza chyba w pierwszej połowie XIX stulecia, z kolei wyraźne sformułowania tego typu raczej zanikły, ustępując wobec bardziej humanistycznego sposobu myślenia i wartościowania pracy. Interakcja zachodząca między człowiekiem pracy a całością narzędzi i środków produkcji dała miejsce rozwojowi różnych form kapitalizmu równoległe do rozmaitych form kolektywizmu. Dołączyły się do tego jeszcze inne elementy społeczno-polityczne w następstwie: nowych konkretnych okoliczności, jak działalność stowarzyszeń robotniczych i władz publicznych oraz pojawienie się wielkich przedsiębiorstw ponadnarodowych. Mimo to *niebezpieczeństwo* traktowania pracy ludzkiej jako *sui generis* „towaru” czy anonimowej „siły” potrzebnej dla produkcji (mówi się wręcz o „sile roboczej”), *istnieje stale*, istnieje zwłaszcza wówczas, gdy całe widzenie problematyki ekonomicznej nacechowane jest przesłankami ekonomizmu materialistycznego.

Systematyczną okazję, a poniekąd nawet podjętą do tego rodzaju myślenia i wartościowania, stanowi cały rozwój, przyspieszony postęp cywilizacji jednostronnie materialnej, w której przywiązuje się wagę przede wszystkim do przedmiotowego wymiaru pracy, natomiast wymiar podmiotowy — to wszystko, co pozostaje w bezpośrednim lub pośrednim związku z samym podmiotem pracy — pozostaje na dalszym planie. W każdym takim wypadku, w każdej tego typu sytuacji społecznej zachodzi pomieszanie, a nawet wręcz odwrócenie porządku wyznaczonego po raz pierwszy już słowami Księgi Rodzaju; *człowiek zostaje potraktowany jako narzędzie produkcji*, podczas gdy powinien on — on jeden, bez względu na to, jaką pracę wypełnia — być traktowany jako jej sprawczy podmiot, a więc właściwy sprawca i twórca. Takie właśnie odwrócenie porządku, bez względu na to, w imię jakiego programu i pod jaką nazwą się dokonuje, zasługiwałoby na miano „kapitalizmu” w znaczeniu, o którym mowa poniżej. Wiadomo, że „kapitalizm” posiada swoje historycznie ustalone znaczenie jako system i ustrój ekonomiczno-społeczny, przeciwstawny do „socjalizmu” lub „komunizmu”. Natomiast w świetle analizy tej podstawowej rzeczywistości całego procesu gospodarczego, a przede wszystkim struktur produkcji, jaką jest właśnie praca, wypada przyjąć, że **błąd kapitalizmu pierwotnego może powtórzyć się wszędzie tam, gdzie człowiek zostaje potraktowany poniekąd na równi z całym zespołem materialnych środków produkcji, jako narzędzie**, a nie — jak to odpowiada właściwej godności jego pracy — jako podmiot i sprawca, a przez to samo także jako właściwy cel całego procesu produkcji.

KS. BP KAROL WOJTYŁA

OCENA MOŻLIWOŚCI ZBUDOWANIA ETYKI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ PRZY ZAŁOŻENIACH SYSTEMU MAXA SCHELERA

LUBLIN 1959



ANALIZA PORÓWNAWCZA

Ideal etyczny i zasada naśladowania.

1. W źródłach objawionych etyki chrześcijańskiej spotykamy się często z **wzwaniem do naśladowania bądź to samej osoby Jezusa Chrystusa, bądź też innych osób, które zasługują na to, aby je naśladować**, ponieważ one same naśladowują Chrystusa. Świadczą o tym bardzo liczne teksty. W nauczaniu Jezusa Chrystusa wielokrotnie słyszymy to wezwanie: „Pójdź za mną!” Sądząc z bezpośrednich kontekstów zawiera ono czasem bezpośrednią tylko zachętę, aby ktoś przyłączył się do grona uczniów i towarzyszków Chrystusowych (por. np. Mt 8, 18—22, Mt 9, 9), częściej jednakże chodzi wyraźnie również o **naśladowanie w znaczeniu etycznym**. Kiedy więc Jezus mówi np. „*Jeśli kto chce iść za mną, niech zaprze samego siebie i weźmie krzyż swój na każdy dzień i naśladuje mnie*” (Mt 16, 24), wówczas **wyraźnie określa warunki moralne naśladowania swojego wzoru**, takie jak **gotowość ofiary, zaparcie się siebie**. Podobnie w znanej rozmowie z młodzieńcem (por. Mt 19, 16 nn.) mówi Jezus wyraźnie: „*Jeśli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj wszystko co masz i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie; a przyjdź i pójdź za mną*”. **Chodzi więc o doskonałość moralną**, którą ów młodzieniec ma osiągnąć idąc za Chrystusem i przyjmując na wstępie już te warunki, które Mistrz mu podaje. **Do naśladowania w znaczeniu moralnym** wzywa też Jezus Chrystus w tym zdaniu: „*Uczcie się ode mnie, żem jest cichy i pokornego serca*” (Mt 11, 29), chodzi w nim bowiem o to, **ażeby uczniowie odtwarzali w sobie te rysy doskonałości moralnej, które posiada Mistrz**. Jezus Chrystus daje liczne wyrazy tej pokory oraz gotowości służenia innym, tak np. przy ostatniej wieczerzy umywa nogi swoim uczniom, a potem mówi: „*Dalem wam przykład, abyście jakom ja wam uczynił, tak i wy czynili*” (J 13, 14). Naśladowanie wiąże się z miłością do osoby Mistrza-wzoru, miłość ta musi być u ucznia i naśladowcy silniejsza niż miłość do najbliższych mu ludzi, do ojca, do matki, syna lub córki, jak to wynika z Mt 10, 37—38.

Wezwanie do naśladowania wzoru moralnego, które tyle razy daje się słyszeć w Ewangelii, powtarza się niemniej często w listach Apostołów Jezusa Chrystusa. Św. Paweł

wzywa swoich uczniów do tego, ażeby byli jego naśladowcami „jako on sam naśladowcą jest Chrystusa” (1 oKr 11, 1) lub też, aby byli „naśladowcami Bożymi” (Ef 5, 1). Kiedy indziej znów stwierdza, że stali się naśladowcami jego i „Pańskimi, przyjąwszy naukę...” (1 Tess 1, 6). W (2 Tess 3, 9) pisze: „Chcieliśmy wam dać siebie za wzór, abyście nas naśladowali”. A do Filipensów pisze, żeby byli naśladowcami jego i zapatrywali się „na tych, którzy tak postępują, jak tego w nas wzór macie” (Flp 3, 17). A więc wskazuje im również na wzory do naśladowania, które mają wśród swojej społeczności religijnej. Podobnie też Tessaloniczan stawia za wzór dla wszystkich innych (1 Tess 1, 6). Również i Żydów zachęca Apostoł w podobny sposób: „Przypatrujmy się jedni drugim dla pobudzania się nawzajem do miłości i dobrych uczynków” (Żyd 10, 24). W liście św. Piotra czytamy: „Na wzór świętego, który was wezwał, i wy całym postępowaniem świętymi bądźcie”. (P 1, 15, por. również 1 P 2, 21). — W listach św. Jana: „Kto twierdzi, że w nim (tj. w Jezusie Chrystusie) przebywa, powinien też postępować tak, jak On postępował” (1 J 2, 3, por. również 3 J 1, 11).

Ta wielość tekstów w Piśmie św. Nowego Testamentu wzywających do naśladowania wzorów doskonałości moralnej świadczy wyraźnie o tym, jakie znaczenie dla życia moralnego posiada idea naśladowania według Objawienia chrześcijańskiego. Wzorem, tzn. przedmiotem naśladowania jest zawsze osoba, której moralna doskonałość unaocznia się w jej postępowaniu. Tak więc wzorem do naśladowania jest przede wszystkim **Jezus Chrystus**. Ale również Jego uczniowie i naśladowcy stanowią znowu wzory do naśladowania dla innych. Wynika to zwłaszcza z listów św. Pawła Apostoła. W ten sposób **idea naśladowania nabiera wielkiego znaczenia etyczno-społecznego**. Wzór moralny działa w swoim środowisku, dostarcza bezpośredniego przedmiotu do naśladowania, pobudza do niego, a w ten sposób przedłuża niejako moralne oddziaływanie pierwotnego wzoru, tzn. tej osoby, na której sam się wzoruje. **Oddziaływanie wzorcze posiada ogromne znaczenie wychowawcze**.

Całe to znaczenie wychowawczo-społeczne, jakie źródła chrześcijańskiego Objawienia przypisują idei naśladowania, pochodzi stąd, że **źródła te stawiają równocześnie doskonałość moralną osoby jako cel ludzkiego postępowania**, głoszą ją jako ideał. Oto Jezus Chrystus stawia przed człowiekiem **ideał doskonałości moralnej jako zadanie do urzeczywistnienia** w tych dobrze znanych słowach: „Bądźcie doskonałymi jako Ojciec wasz niebieski doskonały jest” (Mt 5, 48). Wedle bezpośredniego kontekstu Jezus nawiązuje w tym zdaniu do zalecenia miłości nieprzyjaciół. Bóg jest najwyższym wzorem miłości nieprzyjaciół, ponieważ Opatrznością swą ogarnia wszystkich, zarówno dobrych, którzy są Jego przyjaciółmi, jak i złych, tzn. nieprzyjaciół swoich. Przytoczone słowa stawiają ideał doskonałości moralnej osoby ludzkiej w całym jego istotnym odniesieniu do Boga jako najwyższej doskonałości. Bają one więc tym samym świadectwo najwyższej wzorczości Boga w świecie osób. — Św. Paweł zaleca Tessaloniczanom takie postępowanie, ażeby przez nie stawali się coraz doskonalszymi i podobali się Bogu (1 Tess 4, 1), „albowiem wolą Bożą jest uświęcenie wasze” (1 Tess 4, 3) k

Zasada naśladowania jest najściślej związana z **ideałem moralnej doskonałości osoby ludzkiej**. Tylko więc w **etyce personalistycznej**, która **stawia doskonałość osoby jako cel postępowania**, ma sens idea naśladowania osobowego wzoru. Oprócz wyraźnego postawienia ideału doskonałości moralnej osoby **potrzebna jest również sama osoba, która stanowi realny wzór**, a więc osoba realnie doskonała. Inaczej bowiem sama zasada naśladowania traci swój sens. Ideał doskonałości moralnej osoby nadaje jej sens ogólny i abstrakcyjny, wszakże dopiero istnienie osoby względnie osób realnie doskonałych nadaje jej sens konkretny i praktyczny. Tak jest właśnie w etyce chrześcijańskiej i tak wynika z przytoczonych źródeł. Jeśli chodzi o to, ażeby osoba osiągnęła doskonałość moralną, wówczas **trzeba, ażeby brała wzór z takiej osoby, która tę doskonałość realnie posiada i dlatego przejawia**. Osoba ta jest więc o tyle przedmiotem naśladowania, o ile **ideał**

doskonałości jest w niej bądź zrealizowany, bądź też przynajmniej realizowany. Ponieważ zaś **realizowany bywa czynami, zatem czyny służą za przykład**. W czynach, w poszczególnych aktach człowieka, zawiera się to dobro, które stanowi o realnej doskonałości osoby. Tak więc przez tę swoją pozytywną wartość moralną akty ludzkie przyczyniają się do urzeczywistniania ideału doskonałości osoby. Jeśli natomiast są to akty moralnie złe, wówczas przez swoją negatywną wartość moralną utrudniają i uniemożliwiają urzeczywistnienie ideału doskonałości osoby. Stwierdzamy więc, że **sama zasada naśladowania wzoru osobowego wówczas tylko ma sens**, kiedy w odnośnym systemie etycznym postawiony jest nie tylko ideał doskonałości osoby, ale również, **gdy się zakłada istnienie osób realnie doskonałych oraz realnie dążących do doskonałości**. Trzeba zatem obok ideału doskonałości założyć również realną doskonałość moralną osoby oraz realne akty, którymi do osiągnięcia tej doskonałości człowiek zmierza. Kiedy bowiem naśladujemy wzór osobowy, wówczas staramy się o to, ażeby w naszych czynach znalazło się analogiczne dobro, analogiczna wartość moralna, jak w czynach owego wzoru, i aby to dobro sprawiło w nas analogiczną doskonałość osoby. Zakładamy, że **wartość moralna jest zawsze realną wartością osoby**.

Otóż studiując przytoczone teksty źródłowe zaczerpnięte z Pisma św. Nowego Testamentu stwierdzamy, że w nich taka właśnie zawiera się **nauka o naśladowaniu osobowego wzoru**. Sama **zasada naśladowania** jest związana najściślej z jasno sformułowanym ideałem doskonałości osoby, nabiera zaś konkretnego i praktycznego znaczenia dzięki temu, że istnieją realne wzory osobowe, przede wszystkim **Jezus Chrystus, najwyższy wzór doskonałości moralnej**, dalej zaś uczniowie Jego i naśladowcy, którzy dzięki naśladowaniu pierwotnego wzoru Chrystusowego stają się również sami wzorami dla innych. Etyka chrześcijańska zakłada realną doskonałość moralną Osoby i osób i na niej opiera zasadę naśladowania.

Mając wszystko to w pamięci, **postaramy się wydobyć najistotniejsze znamiona, które wykazuje zawarty w etyce chrześcijańskiej ideał doskonałości moralnej osoby** głoszony przez Jezusa Chrystusa.

Jest to: **a) ideał religijny**. Jezus Chrystus głosi go bowiem jako **zadanie od Boga, jako wolę Boga w stosunku do ludzi**. Dlatego też człowiek, który go urzeczywistnia, wypełnia wolę Boga (por. Mt 7, 21; Mt 12, 15; Ef 6, 6). Stąd św. Paweł zachęca: „*Cokolwiek czynicie, z serca czyńcie jako Panu, a nie ludziom*” (Kol 3, 23). Św. Paweł pisze też o postępowaniu „*w sposób godny Boga, podobając Mu się we wszystkim*” (Kol 1, 10). To zdanie wskazuje, że realizacja ideału doskonałości stawia człowieka w pozytywnym stosunku do Boga. Jest to zrozumiałe, skoro z ust samego Jezusa Chrystusa wiemy, że **doskonałość moralna osoby ludzkiej zawiera w sobie pewne odzwierciedlenie doskonałości Boga** (por. Mt 5, 48). Tak więc wiele jest racji, dla których ideał doskonałości osoby zawarty w etyce chrześcijańskiej stanowi prawdziwy ideał religijny. Kiedy stwierdzamy, że jest to **b) ideał realny**, to wówczas nie mamy na myśli samej formy, w której został on postawiony i wyrażony. Ideał zawsze posiada formę idealną, stawia przed człowiekiem to, co dopiero jest do urzeczywistnienia, co dopiero ma się stać realne. Jednakże poprzedzająca analiza źródłowych tekstów Objawienia chrześcijańskiego wykazała, że **urzeczywistnianie tego ideału przez człowieka daje realną doskonałość jego osoby**. I z tego tytułu, tj. ze względu na to, że etyka chrześcijańska zakłada realną doskonałość moralną osoby i osób, że o nią zabiega, nazywamy ten ideał doskonałości moralnej w niej zawarty ideałem realnym. Określimy go wreszcie jako **c) ideał praktyczny**. Ideał sam w sobie praktyczny jest tylko o tyle, że **ma być urzeczywistniony w działaniu**. W źródłach objawionych etyki chrześcijańskiej stwierdzamy cały szereg pouczeń i wskazówek, jak należy działać, co czynić, ażeby ideał ten urzeczywistnić. I stąd właśnie tytuł do tego, aby nazywać ów ideał praktycznym, skoro ta doskonałość moralna osoby, która jako ideał staje przed człowiekiem do urzeczywistnienia, jest przedmiotem działania,

przedmiotem aktów wewnętrznych i zewnętrznych osoby ludzkiej. Owszem, również cała zasada naśladowania wzoru osobowego ma taki sens praktyczny. **Człowiek uczy się od tego wzoru, co czynić, jak postępować, ażeby doskonałość moralną swej własnej osoby urzeczywistnić.**

2. **Poddajemy teraz analizie odnośne założenia systemu etycznego Maksa Schelera.** Scheler, który swój system pojął jako próbę stworzenia podstaw dla etycznego personalizmu, daje niejednokrotnie wyraz temu, że **doskonałość osoby, jej najwyższa wartościowość — jak się wyraża, stanowi właściwy cel etyki.** Wartości osobowe, tj. te, które występują wyłącznie tylko w osobie jako podmiocie, stawia bowiem najwyżej, a wartości moralne są właśnie osobowymi. Nie ulega zatem wątpliwości, że system jego w samych swoich założeniach przeniknięty jest **ideałem etycznej doskonałości osoby.** I właśnie dlatego, że etyczny sens świata wyraża się w istnieniu możliwie najwyżej wartościowych osób, **szuka Scheler dróg, które do takiej możliwie najwyższej wartości osoby prowadzą.** Uznaje więc, że **drogą najwłaściwszą jest naśladowanie osobowego wzoru,** tzn. osoby wysoko wartościowej. Samo tedy założenie personalistyczne systemu Schelera jest zbudowane zupełnie podobnie jak w Ewangelii: **zasada naśladowania opiera się na wyraźnie postawionym ideale doskonałości osoby, ma zaś służyć do osiągnięcia tego ideału.** Scheler uważa, że wszelkie normy etyczne, które w swej treści są ogólne nie mogą do tego prowadzić. Mogą one bowiem wywoływać tylko akty wewnętrzne, (tj. chcenie) i zewnętrzne (czyny) ze strony tej osoby, do której się odnoszą, nie dokonują natomiast żadnych przemian w samej istocie wartościowej tej osoby. **Wszelkie przemiany istoty wartościowej są uzależnione według Schelera w zasadniczej mierze od miłości osoby.** Jeśli zaś chodzi o przeobrażenia etyczne, to są one według niego związane z miłością do osoby, tj. z tą miłością, która ma za przedmiot osobę. I dlatego właśnie ideał musi wystąpić przed człowiekiem zawsze w postaci osobowego wzoru. **Miłość do tej osoby, która jest wzorem (a jako wzór stanowi ideał), otwiera przed uczniem-naśladowcą samą idealną istotę wartościową tejże osoby,** udostępnia ją dla aktów emocjonalno-poznawczych ucznia, i przez to umożliwia naśladowanie. (...)

(...) ...**moment zdynamizowania osoby zadaniem moralnym może nastąpić [...] wtedy, gdy osobowy podmiot zwraca się swoją miłością do innej osoby.** Wówczas ta miłość trafia niejako w sam wartościowy rdzeń tej osoby i odsłania znów przed podmiotem miłującym jej idealną istotę wartościową. **Miłość pozwala mu wówczas współprzeżywać te wartości, ku którym skierowują się intencje aktów tamtej osoby.** W takim współprzeżyciu ów podmiot przyswaja sobie intencjonalnie owe wartości, ku którym skierowują się intencje aktów tamtej osoby, czyni je treścią swoich własnych aktów emocjonalno-poznawczych. I wtedy właśnie, **w oparciu o taką miłość, powstaje między jedną a drugą osobą ten szczególny stosunek, który Scheler nazywa *Gefolgschaft* — naśladowanie.** Miłość ucznia-naśladowcy zwraca się do osoby mistrza-wzoru jako do swojego właściwego przedmiotu. Osoba ta leży według Schelera niejako w „granicach” tego, co uczeń kocha, sama idealna istota wartościowa osoby-wzoru odsłania się w tej miłości dla emocjonalno-poznawczego przeżycia ucznia. Ten **świat idealnych wartości, które przeżywa mistrz staje się współudziałem przeżycia ucznia, który niejako dorasta do niego i wrasta weń** (fenomen *Hineinwachsen*). Na tym właśnie polega owo „pójście za” **wzorem,** którego Scheler wyraźnie nie sprowadza do aktów wewnętrznych (chcenie) lub też zewnętrznych (czyn), ale pojmuje jako **dobrowolne i samodzielne emocjonalne oddanie się tym wartościom, które intencjonalnie przeżywa mistrz-wzór.** W tych wartościach przedmiotowych uczeń-naśladowca przeżywa w nowy sposób swoje zadanie, nowa bowiem przed nim otwarła się treść idealnej powinności. Powinność ta idzie w tym wypadku za przeżyciem potężnej atrakcji, którą wywiera osobowy wzór przez samą idealną istotę wartościową swojej osoby.

W ten sposób rozumie Scheler naśladowanie w swym systemie etycznym. Twierdzi on, że **nic tak nie przyczynia się do moralnej dobroci osoby jak bezpośredni ogląd** (intuicja emocjonalna) **drugiej osoby w jej moralnej dobroci.** Pozytywne wartości osoby mistrza determinują wówczas bezpośrednio powstawanie analogicznych wartości w osobie ucznia. Jest to stosunek dobrego przykładu. Gdyby polegać na oddziaływaniu samych norm o treści ogólnej i ogólnym zasięgu, wówczas zagrożona zostaje samodzielność przeżycia wartości. Wzór osobowy, czyli ideał nie narusza tej samodzielności ani jej też nie ogranicza. **Cały bowiem wpływ wzorczy opiera się na miłości do osoby mistrza-wzoru, a właśnie ta miłość jest zasadniczym źródłem poznawczego odczucia wartości,** które według Schelera mają stanowić przedmiot chcenia. Równocześnie zaś **ta sama miłość kształtuje na nowo, tj. przeobraża samą wartościową istotę osobową ucznia-naśladowcy,** sprawia ona bowiem, że w jego emocjonalno-poznawczym przeżyciu pojawiają się te wartości, które stanowią o idealnej, istocie wartościowej osoby mistrza. Tak więc idealna istota wartościowa osoby ucznia upodabnia się do idealnej istoty wartościowej osoby mistrza. Uczeń idzie za mistrzem, naśladuje swój wzór.

Taka jest nauka Schelera o naśladowaniu osobowego wzoru. Siła przyciągająca takiego wzoru została w niej przedstawiona jako moralnie twórcza: kto ma taki wzór — twierdzi Scheler — ten dąży do tego, aby się stać doń podobnym. Rozumiejąc doskonale wielką rolę społeczno-wychowawczą wzorów osobowych opracował Scheler osobno zagadnienie wzorczości oraz całą typologię osobowych wzorów w rozprawie *Vorbilder und Führer*.



Jan Paweł II, Encyklika Veritatis splendor, 1993

„Jeśli chcesz być doskonały” (Mt 19, 21)

16. Odpowiedź dotycząca przykazań nie zadowala młodzieńca, który dalej pyta Jezusa: „Przestrzegałem tego wszystkiego, czego mi jeszcze brakuje?” (Mt 19, 20). Niełatwo jest powiedzieć z czystym sumieniem: „przestrzegałem tego wszystkiego”, skoro z trudem tylko ogarnąć można rzeczywisty zasięg wymagań zawartych w Prawie Bożym. Ale nawet jeśli bogaty młodzieniec może tak powiedzieć, jeśli od dzieciństwa konsekwentnie i z poświęceniem dążył do osiągnięcia **ideału doskonałości**, to jednak ma świadomość, że daleko jest jeszcze od celu: stając przed Jezusem odczuwa, że nadal czegoś mu brakuje. Właśnie do świadomości tego braku odwołuje się Jezus w swej ostatejnej odpowiedzi: wyczuwając **tesknotę za pełnią, która wykracza poza legalistyczną interpretację przykazań, Nauczyciel dobry zaprasza młodzieńca, by wszedł na drogę doskonałości**: „Jeśli chcesz być doskonały, idź, sprzedaj, co posiadasz i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie. Potem przyjdź i chodź za Mną!” (Mt 19, 21)

Kazanie na Górze rozpoczyna się ogłoszeniem błogosławieństw, ale zawiera także wzmiankę o przykazaniach (por. Mt 5, 20-48). Zarazem Kazanie ukazuje, że **przykazania są otwarte i ukierunkowane na perspektywę doskonałości**, właściwą dla błogosławieństw. Te ostatnie to przede wszystkim *obietnice*, z których pośrednio wypływają także *wskazania normatywne* dotyczące życia moralnego. W swojej pierwotnej głębi **są one swoistym autoportretem Chrystusa** i właśnie dlatego **stanowią zaproszenie do naśladowania Go i do komunii życia z Nim**.

17. Nie wiemy, jak dalece młodzieniec z Ewangelii pojął głęboki i trudny sens pierwszej odpowiedzi Jezusa: „jeśli chcesz osiągnąć życie, zachowaj przykazania”; jest jednak pewne, że zaangażowanie młodzieńca w spełnianie wszystkich moralnych wymogów zawartych w przykazaniach stanowi niezbędne podłoże, na którym może się zrodzić i dojrzeć **pragnienie doskonałości**, czyli realizacji ich wewnętrzznego sensu **w naśladowaniu Chrystusa**. Rozmowa Jezusa z młodzieńcem pozwala nam zrozumieć, jakie są **warunki moralnego wzrostu człowieka powołanego do doskonałości**: młodzieniec, który zachowywał dotąd wszystkie przykazania, okazuje się niezdolny, by o własnych siłach uczynić następny krok. Aby go postawić, potrzeba dojrzałej ludzkiej wolności: „jeśli chcesz” i Boskiego daru łaski: „przyjdź i chodź za Mną!”.

19. **Drogą, a zarazem treścią tej doskonałości jest naśladowanie Chrystusa, pójście za Nim**, wyrzekłszy się wpieryw własnych dóbr i siebie samego. Tak właśnie kończy się rozmowa Jezusa z młodzieńcem: „Potem przyjdź i chodź za Mną” (Mt 19, 21). Jest to wezwanie, którego cudowną głębię uczniowie pojmą dopiero po zmartwychwstaniu Chrystusa, gdy Duch Święty doprowadzi ich do całej prawdy (por. J 16, 13).

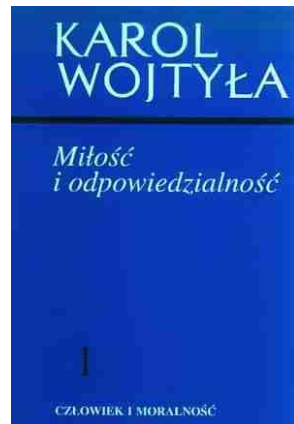
Sam Jezus podejmuje tu inicjatywę i wzywa, by iść za Nim. Ta zachęta skierowana jest przede wszystkim do tych, którym powierza On szczególną misję, poczynając od Dwunastu; ale jest też oczywiste, że miano ucznia Chrystusa przysługuje każdemu wierzącemu (por. Dz 6, 1). **Dlatego naśladowanie Chrystusa jest pierwotnym i najgłębszym fundamentem chrześcijańskiej moralności**: jak lud Izraela szedł za Bogiem, który prowadził go przez pustynię do Ziemi Obiecanej (por. Wj 13, 21), tak **uczeń ma iść za Jezusem**, ku któremu pociąga go sam Ojciec (por. J 6, 44).

Naśladowanie to nie polega jedynie na słuchaniu nauki i na posłusznym przyjmowaniu przykazań. Oznacza ono coś bardziej radykalnego: **przyłgnięcie do osoby samego Jezusa, uczestnictwo w Jego życiu i przeznaczeniu, udział w Jego dobrowolnym i pełnym miłości posłuszeństwie woli Ojca**.

21. **Pójście za Chrystusem nie jest zewnętrznym naśladownictwem**, gdyż dotyka samej głębi wnętrza człowieka. **Być uczniem Jezusa znaczy upodobnić się do Niego**, który stał się sługą aż do ofiarowania siebie na krzyżu (por. Flp 2, 5-8). Przez wiarę Chrystus zamieszkuje w sercu wierzącego (por. Ef 3, 17), dzięki czemu **uczeń upodabnia się do swego Pana i przyjmuje Jego postać**. Jest to owocem łaski, czynnej obecności Ducha Świętego w nas.

KAROL WOJTYŁA

MIŁOŚĆ I ODPOWIEDZIALNOŚĆ



METAFIZYKA WSTYDU

Zjawisko wstydu seksualnego i jego interpretacja

Zjawiskiem wstydu, a w szczególności wstydu seksualnego, zajmowali się w ostatnich czasach fenomenologowie (M. Scheler, F. Sawicki). Jest to temat, który otwiera szerokie perspektywy i nadaje się do gruntownej analizy. **Biorąc zjawisko wstydu powierzchownie**, można powiedzieć, że **dostrzegamy w nim zawsze jakieś dążenie do ukrycia**. Może chodzić o ukrycie pewnych faktów zewnętrznych, jak również pewnych stanów czy przeżyć wewnętrznych. Nie można upraszczać sprawy utrzymując, że dąży do ukrycia tego tylko, co uważa się za złe, często bowiem wstydzimy się również dobra, np. dobrego uczynku. Może być, że w tym ostatnim przypadku wstyd dotyczy nie tyle samego dobra, ile raczej koncentruje się tylko na fakcie uzewnętrznienia tego dobra, które w mniemaniu sprawcy winno pozostać w ukryciu, wówczas bowiem samo uzewnętrznienie odczuwa się jako coś złego. Można więc również powiedzieć, że **zjawisko wstydu występuje wówczas, gdy to, co z racji swojej istoty czy swego przeznaczenia winno być wewnętrzne, wychodzi poza obręb wnętrza osoby** i staje się w jakiś sposób zewnętrzne.

W tym wszystkim **obserwujemy wyraźny związek wstydu z osobą**. Trudno dyskutować w tej chwili nad tym, czy zjawisko to występuje również w świecie zwierzęcym. Zdaje się, że mamy tam do czynienia tylko z różnymi formami lęku. Lęk jest uczuciem negatywnym wywołanym zawsze przez jakieś zło, które grozi podmiotowi. Zło to musi być oczywiście wpierw dostrzeżone lub wyobrażone, w ślad za czym idzie dopiero uczucie lęku. **Wstyd różni się od lęku, jakkolwiek zewnętrznie biorąc może się zdawać, że leży blisko niego**. Jeśli człowiek wstydzi się czegoś, to towarzyszy temu również lęk, aby to, co w jego przekonaniu winno być ukryte, nie wyszło na jaw. Lęk zatem łączy się ze wstydem, ale jest on wówczas czymś pośrednim tylko i ubocznym. Sama istota wstydu sięga poza ten lęk. Nie sposób jej pojąć, jeśli się nie zaakcentuje mocno tej prawdy, że osoba jest bytem „wewnętrznym”, tj. że posiada sobie tylko właściwe wnętrze, rodzi się stąd potrzeba ukrywania (czyli pozostawania wewnątrz) pewnych treści czy pewnych wartości lub uciekania z nimi do wewnątrz. Lęk nie wykazuje tej wewnętrzności, jest to prosta reakcja na zło dostrzeżone, wyobrażone lub uświadomione. Bo reakcji tej nie jest potrzebne „wnętrze“, natomiast wstydu nie sposób bez niego pojąć. **Znamienna dla wstydu potrzeba ukrycia rodzi się w człowieku stąd, że znajduje się w nim jakby teren podatny**

do ukrywania jakichś treści czy wartości — życie wewnętrzne. Jest to coś innego niż ukrywanie się samej reakcji lękowej, która może się zataić w psychice, co chyba jest możliwe również u zwierząt. **Wstyd natomiast jest związany z osobą, a rozwój jego idzie w parze z rozwojem osobowości.**

Chodzi nam w szczególności o **wstyd seksualny**. Zewnętrzne jego przejawy wiążą się z ciałem — jest to w pewnej mierze po prostu **w s t y d c i a ł a**. W szczególny sposób przedmiotem wstydu są te części i organy ciała, które stanowią o jego seksualnej odrębności. **Istnieje wśród ludzi prawie powszechna dążność do ich ukrywania przed okiem innych**, zwłaszcza zaś przed okiem osób drugiej płci. Tym się tłumaczy w dużej mierze potrzeba unikania nagości ciała. Oczywiście, że działają tutaj również inne względy, zwłaszcza potrzeba samoobrony organizmu przed zimnem, co jest najściślej związane z klimatem. Tym znów tłumaczy się częściowa lub nawet całkowita nagość u ludów pierwotnych, żyjących w okolicach podzwrotnikowych. Wiele faktów z ich życia wskazuje na to, że nagość ciała nie utożsamia się w prosty i jednoznaczny sposób z bezwstydem. Tak więc np. przejawem bezwstydu dla niektórych ludów pierwotnych jest — wręcz przeciwnie — zakrycie tych części ciała, które u innych bywają odsłonięte. Działa tu więc z pewnością również przyzwyczajenie, nawyk zbiorowy, wytworzony na tle panujących warunków klimatycznych. Obnażanie ciała jest wówczas przede wszystkim prostą funkcją przystosowania organizmu do tych warunków, tak że nie dostrzega się w nim bezpośrednio żadnej innej intencji; intencja taka natomiast może się łatwo kojarzyć z ukrywaniem tych części ciała, które stanowią o seksualnej odrębności kobiety i mężczyzny. Okazuje się, że strój może służyć nie tylko do ich ukrycia, ale również w jakiś sposób do ich uwydatnienia. **Wstyd seksualny nie utożsamia się więc w sposób prosty z samym stosowaniem stroju, tak jak bezwstyd nie utożsamia się z jego brakiem** i z całkowitą lub częściową nagością ciała. To jest czynnik uboczny i warunkowy. Można najwyżej stwierdzić, że dążność do osłaniania ciała oraz tych jego części, które stanowią o odrębności płciowej kobiety i mężczyzny, idzie w parze ze wstydem seksualnym, ale istoty jego nie stanowi.

Istotna dla tego wstydu jest natomiast dążność do ukrycia samych wartości seksualnych, i to przede wszystkim o tyle, o ile w świadomości danej osoby stanowią one „możliwy przedmiot użycia” dla osób drugiej płci. Dlatego nie spotykamy się ze zjawiskiem wstydu seksualnego u dzieci, dla których jeszcze nie istnieje sfera wartości seksualnych, świadomość ich jeszcze się dla tych wartości nie otworzyła. W miarę jak sobie uświadamiają lub też w miarę jak im zostaje uświadomione istnienie tej sfery wartości, **zaczynają przeżywać wstyd seksualny**, i to nie jako coś narzuconego sobie z zewnątrz, od strony środowiska, w którym żyją, ale **jako wewnętrzną potrzebę swej własnej tworzącej się osobowości**. Rozwój wstydlivości — tak nazwiemy stałą zdolność i gotowość do wstydnienia się — idzie nieco **inną drogą u dziewcząt oraz kobiet, a inną u chłopców i mężczyzn**. Jest to związane z podkreślonym już w analizie psychologicznej miłości nieco innym układem sił psychicznych, z innym stosunkiem zmysłowości do uczuciowości. Skoro bowiem u mężczyzn na ogół silniejsza i bardziej się narzucająca jest zmysłowość z jej nastawieniem na „ciało jako możliwy obiekt użycia”, przeto wstydlivość oraz wstyd jako tendencja do ukrycia wartości seksualnych związanych właśnie z ciałem winna się bardziej zaznaczać u dziewcząt i kobiet. Równocześnie jednak są one mniej świadome zmysłowości i jej naturalnej orientacji u mężczyzn o tyle, że w nich samych na ogół uczuciowość bierze górę nad zmysłowością, a ta ostatnia raczej się ukrywa w uczuciowości. Dlatego twierdzi się nieraz, że kobieta jest z natury „czystsza” od mężczyzny, co bynajmniej niczego jeszcze nie mówi o cnocie czystości. Jest „czystsza” o tyle, że mocniej przeżywa wartość „człowieka drugiej płci”, wartość pewnego rodzaju psychicznej „męskości”, na którą zresztą bardzo wpływa i męskość fizyczna, jakkolwiek samo przeżycie jednej i drugiej jest u kobiety bardziej psychiczne. Ale właśnie ten rys jej psychiki może poniekąd równocześnie utrudniać wstydlivość. Kobieta

nie znajduje w sobie takiej zmysłowości, jaką na ogół musi w sobie odnaleźć mężczyzna, nie czuje tak wielkiej potrzeby ukrycia „ciała jako możliwego przedmiotu użycia”. Dla urobienia wstydlivosti kobiecej potrzeba dopiero wczucia się w psychikę męską.

Naturalny rozwój wstydlivosti chłopca i mężczyzny idzie na ogół innymi drogami. Mężczyzna nie musi się tak bardzo lękać zmysłowości kobiecej, jak kobieta męskiej. Przeżywa natomiast mocno swoją własną zmysłowość i to jest dla niego źródłem wstydu. Wartości seksualne są dla niego bardziej związane z „ciałem i płcią jako możliwym przedmiotem użycia”, w ten sposób je przeżywa — i w ten sposób przeżywane stanowią dla niego powód do wstydu. Wstydzi się więc przede wszystkim swego sposobu przeżywania wartości seksualnej osób drugiej płci. Wstydzi się również wartości seksualnych związanych z własnym „ciałem”; może jest to konsekwencją tamtego wstydu; wstydzi się ciała dlatego, że wstydzi się tego przeżywania wartości „ciała”, z jakim spotyka się wewnątrz siebie. Oczywiście, że niezależnie od tego wstydzi się również swego ciała oraz związanych z nim wartości seksualnych w sposób — rzecz by można — immanentny, o ile poprzedni nazwalibyśmy relatywnym. **Wstyd** nie tylko jest odpowiedzią na czyjaś reakcję zmysłowo-seksualną skierowaną do „ciała jako przedmiotu użycia” — reakcją na reakcję — ale **jest również, i nawet przede wszystkim, wewnętrzną potrzebą unikania takich reakcji na ciało, które pozostają w kolizji z wartością osoby**. Stąd właśnie kształtuje się **wstydlivość, czyli stała gotowość do unikania tego, co bezwstyde**.

Ujawnia się tutaj ów głęboki **związek pomiędzy zjawiskiem wstydu a naturą osoby**. Osoba jest panią samej siebie (nikt inny prócz Boga-Stwórcy nie ma i nie może mieć w stosunku do niej żadnego prawa własności. Jest własnością siebie samej, ma władzę samostanowienia, nikt nie może naruszać jej samoistności. Nikt też nie może uczynić jej swoją własnością, chyba że ona sama na to pozwoli, oddając mu siebie z miłości. Otóż **ta obiektywna nieodstępność oraz nietykalność osoby dochodzi do głosu właśnie w przeżyciu wstydu seksualnego**. Przeżycie wstydu jest naturalnym oddźwiękiem tego, czym osoba po prostu jest. I jak z jednej strony przeżycie wstydu potrzebuje życia wewnętrznego osoby jako terenu, na którym jedynie może wystąpić, tak sięgając jeszcze głębiej widzimy, że przeżycie to potrzebuje samego bytu osoby jako naturalnej swej podstawy. **Wstydzić się może tylko osoba, bo tylko ona z samej swojej natury nie może być przedmiotem używania** (pierwsze i drugie znaczenie słowa „używać”). Wstyd seksualny jest poniekąd objawieniem ponad-użytkowego charakteru osoby, i zarówno wtedy, gdy osoba (np. *x*) wstydzi się związanych z jej ciałem wartości seksualnych, jak i wówczas, kiedy wstydzi się (np. swego stosunku do tych wartości u osób drugiej płci, swego nastawienia na samo ich użycie. W pierwszym wypadku ***x* przeżywając wstyd, uświadamia sobie tym samym, że jej osoba nie powinna być z racji związanych z nią wartości seksualnych przedmiotem użycia**, nie tylko w rzeczywistości, ale nawet w intencji, w drugim wypadku ***y* przeżywając wstyd, uświadamia sobie, że nie powinno się osoby drugiej płci traktować (nawet tylko w wewnętrznym nastawieniu) jako przedmiotu użycia**.

Widać stąd, że **wstyd seksualny gruntownie wytycza w pewnej mierze kierunek całej moralności seksualnej**. Nie wystarcza przy tym sam opis zjawiska, choćby nawet tak wnikliwy jak u fenomenologów, ale potrzebna jest jego interpretacja metafizyczna. W ten sposób etyka seksualna może znaleźć doświadczalny punkt wyjścia z przeżycia wstydu. To wszystko, co stanowiło przedmiot naszych dociekań zwłaszcza w rozdziale I, pozwala się wydobyć z przeżycia wstydu seksualnego jako z prostego faktu doświadczalnego. W interpretacji tego faktu uwzględniamy całą prawdę o osobie, tj. staramy się określić, jakim ona jest bytem — jak to uczyniliśmy na początku rozdziału I. Tylko na tej drodze przeżycie wstydu seksualnego wyjaśnia nam się do końca. Osoba jest w centrum tego przeżycia, a równocześnie ona też stanowi jego fundament. Jakkolwiek przedmiotem bezpośrednim

wstydu, bezpośrednią treścią przeżycia, wstydzania się, są wartości seksualne, to jednak przedmiotem pośrednim jest osoba oraz odniesienie do osoby, i to pochodzące również od osoby. **Chodzi mianowicie o wykluczenie** — w znaczeniu biernym (raczej u kobiety) oraz czynnym (raczej u mężczyzny) — **takiego odniesienia do osoby, które nie godzi się z jej ponad-użytkowym charakterem**, nie godzi się z samą „osobowością” jej bytu. Ponieważ zaś istnieje niebezpieczeństwo takiego odniesienia właśnie z racji wartości seksualnych, które tkwią w osobie, przeto wstyd seksualny przejawia się jako dążność do ich ukrycia. Jest to dążność naturalna i spontaniczna; widać tutaj dobrze, jak porządek moralny wiąże się z porządkiem bytu, z porządkiem natury. Etyka seksualna tkwi korzeniami w prawie natury.

Ów spontaniczny pęd do ukrycia wartości seksualnych oraz seksualnego charakteru przeżyć, z jakim spotykamy się u kobiety i mężczyzny, ma jednak jeszcze głębszy sens. Nie chodzi tylko o to, aby niejako uciec ze wszystkim, co seksualne, przed reakcją osoby innej płci, ani też tylko o to, aby „uciec” wewnątrznie przed reakcją na osobę innej płci. W parze z tą ucieczką przed reakcją na same wartości seksualne idzie bowiem pragnienie wywołania miłości, czyli jakiejś „reakcji” na wartość osoby, oraz pragnienie przeżycia miłości w tym samym znaczeniu — pierwsze jest silniejsze u kobiety, drugie u mężczyzny, chociaż nie trzeba tego pojmować zbyt jednostronnie. **Kobieta chce raczej doznawać miłości, aby mogła miłować. Mężczyzna raczej chce miłować, aby mógł doznawać miłości.** W każdym wypadku wstyd seksualny nie jest ucieczką przed miłością, ale wręcz przeciwnie jakimś otwieraniem sobie drogi do niej. **Spontaniczna potrzeba ukrycia samych wartości seksualnych związanych z osobą jest naturalną drogą do odsłonięcia wartości samej osoby.** Wartość osoby jest ściśle związana z jej nietykalkością, z jej pozycją „ponad przedmiotem użycia”. **Wstyd seksualny niejako odruchowo broni tej pozycji, broni więc także wartości osoby.** Ale nie chodzi tylko o to, aby ją obronić. Chodzi o to, aby tę wartość niejako objawić, i to objawić właśnie w łączności z wartościami seksualnymi, które się z nią łączą w danej osobie. Wstyd nie ukazuje wartości osoby w jakiś abstrakcyjny sposób, jako teoretycznej wielkości dostępnej tylko dla rozumu, ukazuje ją natomiast w sposób żywy i konkretny, tak jak ona jest zespolona z wartościami *sexus*, a jednak w stosunku do nich nadrzędna. Stąd owo przeżycie nietykalkości *„Nie wolno ci mnie tknąć nawet samym wewnętrznym pożądaniem”* — *„Nie wolno mi jej tknąć nawet samą wewnętrzną wolą użycia, ona nie może być przedmiotem użycia”*. Ów znamienity dla prawdziwie kochających się osób „lęk przed zetknięciem” jest pośrednim wyrazem afirmacji wartości samej osoby, a wiadomo, że to moment konstytutywny miłości we właściwym, czyli etycznym, znaczeniu tego słowa.

Istnieje też pewien naturalny wstyd przeżywania miłości jako sprawy ciała. Słusznie mówi się o intymności owych przeżyć. Kobieta i mężczyzna uciekają wówczas przed wzrokiem i przed obecnością innych ludzi, a każdy moralnie zdrowy człowiek uzna inny sposób postępowania za wybitnie nieprzyzwoity. Zachodzi tutaj jakby rozbieżność pomiędzy obiektywną wielkością tego aktu, o czym była już mowa w rozdziale I, a owym wstydem, który go otacza w świadomości ludzi. Nie ma on nic wspólnego z pruderią, czyli z fałszywym wstydem. **Wstyd ten jest słuszny**, istnieją bowiem głębokie powody ukrywania przejawów miłości między kobietą a mężczyzną, a zwłaszcza ich współżycia małżeńskiego, przed okiem innych ludzi. Miłość jest zjednoczeniem osób, które dopełnia się w danym przypadku zbliżeniem i współżyciem cielesnym. To ostatnie polega na jakimś współprzeżywaniu wartości seksualnych, które stanowi o wspólnym używaniu seksualnym kobiety i mężczyzny. Takie współprzeżywanie wartości *sexus* może być gruntownie zespolone z miłością, może w niej znajdować swe obiektywne pokrycie i uzasadnienie (to właśnie droga do przezwyciężenia wstydu u samych osób biorących udział w akcie seksualnym; będzie o tym jeszcze mowa osobno).

Tylko oni jednak świadomi są tego pokrycia i uzasadnienia, tylko dla nich miłość jest

jakaś sprawą „wnętrza”, sprawą duszy, nie tylko ciała. Dla każdego natomiast człowieka z zewnątrz wystąpiłyby tylko zewnętrzne przejawy, a więc tylko owo współprzeżywanie wartości *sexus*, podczas gdy samo zjednoczenie osób, obiektywna istota miłości pozostałaby z zewnątrz niedostępna. Zrozumiała rzecz, iż **wstyd, który dąży do ukrycia wartości seksualnych, ażeby przez to zabezpieczyć wartość osoby, dąży również do ukrycia samego współprzeżywania wartości seksualnych, ażeby przez to zabezpieczyć wartość samej miłości**, i to przede wszystkim dla tych dwojga osób, które ją wspólnie przeżywają. Jest to więc wstyd nie tylko relatywny, ale także immanentny.

Samo współprzeżywanie wartości *sexus* łączy się z takimi faktami, które domagają się zawsze jakiegoś ukrycia. Człowiek z reguły wstydy się tego, co w nim tylko „dzieje się”, a co nie jest świadomym aktem jego woli, tak więc np. wstydy się wybuchów namiętności, choćby gniewu czy strachu, wstydy się tym bardziej pewnych procesów fizjologicznych, które dokonują się niezależnie od jego woli w określonych warunkach; działanie woli ogranicza się do wywołania tych warunków czy też do ich dopuszczenia. Znajdujemy w tym potwierdzenie duchowości i „wewnętrzności” osoby ludzkiej, która dostrzega pewne „zło” w tym wszystkim, co nie jest dosyć wewnętrzne, czyli duchowe, ale tylko zewnętrzne, cielesne, irracjonalne. Ponieważ więc we współprzeżywaniu wartości seksualnych przez kobietę i mężczyznę wszystko to bardzo mocno dochodzi do głosu i uwydatnia się, podczas gdy samo osobowe ich zjednoczenie jest niejako utajone wewnątrz każdej z tych osób i niedostępne dla nikogo z zewnątrz, stąd potrzeba ukrywania całej miłości jako sprawy „ciała i płci”.

Prawo absorpcji wstydu przez miłość

O ile miłość jako sprawa ciała w sposób naturalny łączy się na zewnątrz (tj. w stosunku do jakiegokolwiek innej osoby poza tą kobietą i tym mężczyzną, którzy przeżywają ją wspólnie) ze wstydem, to **wewnątrz, czyli pomiędzy nimi, zachodzi znamienne zjawisko, które tutaj określamy jako „absorpcję wstydu przez miłość”**. Wstyd zostaje niejako wchłonięty przez miłość, roztopiony w niej, tak że kobieta i mężczyzna przestają się wzajemnie wstydy współprzeżywania wartości *sexus*. Proces ten ma olbrzymie znaczenie dla moralności seksualnej, zawiera się w nim jakaś głęboka wskazówka, którą należy wykorzystać w etyce. Jest to bowiem proces naturalny, którego nie sposób zrozumieć bez uchwycenia właściwej proporcji między wartością osoby a wartościami seksualnymi w człowieku oraz w miłości mężczyzny i kobiety.

Analizując zjawisko wstydu seksualnego, doszliśmy do przeświadczenia, że chodzi w nim o fakt posiadający dogłębne znaczenie osobowe — dlatego wstyd seksualny ma rację bytu tylko w świecie osób. Fakt ten ma zresztą znaczenie podwójne: z jednej strony ucieczka — dążność do ukrycia wartości seksualnych w tym celu, aby nie przesłoniły one wartości samej osoby; z drugiej — pragnienie miłości, jej wywołania czy też jej przeżycia (miłość pomiędzy kobietą a mężczyzną kształtuje się, jak wiadomo, na podstawie wartości *sexus*, ale ostatecznie stanowi o niej wzajemny stosunek do wartości osoby, skoro jest ona osobowym zjednoczeniem osób). Tak więc już **z samej analizy wstydu seksualnego widać, że toruje on niejako drogę do miłości**.

Kiedy mówimy o „absorpcji” wstydu przez miłość, **nie znaczy to bynajmniej, że miłość znosi czy też niszczy wstyd seksualny**, wręcz przeciwnie: **jeszcze bardziej wyostreza poczucie tego wstydu w mężczyźnie i kobiecie**, realizuje się bowiem w całej pełni, przy najpełniejszym jego zachowaniu. Słowo „absorpcja” znaczy jedynie, że miłość gruntownie wykorzystuje dla siebie te dane, jakie tkwią w zjawisku wstydu seksualnego; wykorzystuje mianowicie tę proporcję pomiędzy wartością osoby a wartościami *sexus*, jaką

wnosi wstyd we wzajemne odniesienie kobiety i mężczyzny jako coś naturalnego, co się przeżywa spontanicznie, co jednak — nie pielęgnowane odpowiednio — może ulec zniszczeniu ze szkodą dla osób i dla ich wzajemnej miłości.

Na czym więc polega owa absorpcja wstydu przez miłość i czym się tłumaczy? Oto wstyd stanowi jakby naturalną samoobronę osoby przed zejściem lub też zepchnięciem jej na pozycję przedmiotu użycia seksualnego. Pozycja ta — jak to już wielokrotnie stwierdzono, jest sprzeczna z samą naturą osoby. Osoba nie może (nie powinna) sama zejść na pozycję przedmiotu użycia dla drugiej osoby czy też dla innych osób; tak np. x nie może zejść na tę pozycję w stosunku do y . Ale też nie może ona spychać żadnej osoby drugiej płci na pozycję przedmiotu użycia; tak więc nie może postępować y w stosunku do żadnej x . Z jednej i drugiej strony przeciwstawia się temu wstyd seksualny — wstyd zarówno ciała, jak i przeżycia. Otóż **miłość**, jak już stwierdziliśmy na początku tej książki, **jest takim odniesieniem osoby do osoby** (y do x oraz x do y), **które od samych podstaw wyklucza traktowanie osoby jako przedmiotu użycia**, stanowczo nie pozwala osobie zejść na pozycję przedmiotu użycia ani też nie dopuszcza do tego, aby zepchnąć ją na tę pozycję. Dlatego właśnie **wstyd w tak naturalny sposób otwiera się dla miłości**.

Dla miłości istotna jest przede wszystkim afirmacja wartości osoby; opierając się na niej **wola podmiotu miłującego dąży do prawdziwego dobra osoby miłowanej**, i to dobra pełnego i całkowitego, dobra „ze wszech miar” — dobro takie utożsamia się ze szczęściem. Takie nastawienie woli u osoby miłującej jest całkowicie przeciwne jakimkolwiek nastawieniu tej woli na używanie. Miłość i odniesienie do osoby jako do przedmiotu użycia wykluczają się wzajemnie. Wobec tego też wstyd jako naturalna forma ucieczki przed takim odniesieniem ustępuje, traci bowiem swoją obiektywną rację bytu. Ustępuje jednakże o tyle, o ile osoba w ten sposób miłowana, np. x , sama również odpowiada miłością osobie miłującej i to — rzecz najważniejsza — miłością gotową do oddania siebie. Wypada przypomnieć w tym miejscu to, co zostało wydobyte w analizie miłości oblubieńczej. W każdym razie **prawo absorpcji wstydu przez miłość** tłumaczy nam na płaszczyźnie psychologicznej cały problem czystości, a raczej wstydlivosti małżeńskiej. Faktem jest przecież, że **współzycie seksualne małżonków nie stanowi tylko jakiejś formy bezwstydu zalegalizowanego z zewnątrz, ale jest wewnętrznie zgodne z wymaganiami wstydu** (chyba że małżonkowie sami uczynią je bezwstydnym przez sam sposób jego dopełniania).

Ujmując rzecz integralnie (do czego przygotowała nas już w poprzednim rozdziale integralna analiza miłości), należy stwierdzić, że **tylko miłość prawdziwa, a więc posiadająca w pełni swą etyczną istotę, zdolna jest zabsorbować wstyd**. To zrozumiałe wobec faktu, że wstyd stanowi tendencję do ukrycia wartości seksualnych w tym celu, aby nie przesłonić nimi wartości osoby, lecz przeciwnie — tym bardziej ją uwydatnić. **Miłość prawdziwa zaś to taka miłość, w której wartości seksualne są podporządkowane wartości osoby**. Ona dominuje, a afirmacja wartości osoby przenika wszystkie te przeżycia, które rodzą się z samej naturalnej zmysłowości czy też uczuciowości człowieka. Wiadomo, że przeżycia te są w naturalny sposób związane z wartościami seksualnymi (zmysłowość z wartością „ciała i płci”, uczuciowość z wartością „kobiecości” czy też „męskości” w człowieku drugiej płci). Otóż miłość prawdziwa sprawia, że przeżycia te są na tyle przeniknięte afirmacją wartości osoby, iż zostaje wykluczone odniesienie woli do drugiej osoby jako do przedmiotu użycia. Na tym polega w praktyce istotna siła miłości — sama teoretyczna afirmacja wartości osoby jeszcze o niej nie stanowi.

Przy takim więc nastawieniu nie ma powodu do wstydu, czyli do ukrywania wartości *sexus* jako tych, które przesłaniają wartość osoby, które godzą w jej nieodstępność i nietykalność, sprowadzając ją samą na pozycję przedmiotu użycia. **Nie ma wówczas powodu do wstydu ciała** (np. po stronie x), gdyż zawarta w tym wstydzie pozytywna

tendencja do wywołania miłości spotkała się z adekwatną odpowiedzią. **Nie ma też powodu do wstydu przeżycia** (np. po stronie y), gdyż odniesienie do osoby (x) jako do przedmiotu użycia nie zachodzi. Jeśli nawet zmysłowość w sposób sobie właściwy reaguje na „ciało” jako na „możliwy przedmiot użycia”, to jednak wola jest nastawiona przez miłość na prawdziwe dobro osoby, a nie na jej używanie, co bynajmniej nie wyklucza faktu, że (w małżeństwie) jest to ta osoba, ta x , z którą łączy odnośnego y współżycie cielesne, a więc także wspólne używanie seksualne. Potrzeba wstydu została wewnętrznie zaabsorbowana przez sam fakt dojrzałej miłości do osoby: nie musi się wewnętrznie (i zewnętrznie również) ukrywać ze swym nastawieniem na użycie skierowanym ku x , gdyż owo nastawienie zostało wchłonięte przez prawdziwą miłość woli. Afirmacja wartości osoby przenika na tyle wszystkie reakcje zmysłowo-uczuciowe nawiązujące do zwartości seksualnych, że woli nie zagraża postawa użycia niezgodna z odniesieniem do osoby. Owszem, afirmacja ta udziela się uczuciowości tak, że wartość osoby jest nie tylko abstrakcyjnie rozumiana, ale jest także głęboko odczuwana, Jest to wówczas również psychologiczna pełnia miłości, w której dokonuje się do głębi prawidłowa absorpcja wstydu seksualnego. Kobieta i mężczyzna mogą stanowić „jedno ciało” — wedle owych dobrze znanych słów Księgi Rodzaju (2, 24), którymi Stwórca określił istotę małżeństwa — a ta jedność nie będzie żadną formą bezwstydu, ale tylko pełną realizacją zjednoczenia osób, wpływającego ze wzajemnej miłości oblubieńczej. Wiąże się z tym jak najściślej problem stosunku do rodzicielstwa, ale sprawa ta zostanie osobno omówiona w rozdziale IV.

W związku z tym znamionym zjawiskiem „absorpcji” wstydu seksualnego przez miłość **trzeba jeszcze zasygnalizować pewne niebezpieczeństwo**. Wstyd ma swe korzenie głęboko w samym bycie osoby, dlatego trzeba było właśnie metafizyki osoby dla pełnego zrozumienia jego istoty. Istnieje jednak niebezpieczeństwo zbyt powierzchownego potraktowania zarówno wstydu, jak i tej jego absorpcji, która dokonuje się prawidłowo i przez miłość. Wiadomo, że wstyd subiektywnie biorąc jest pewnym uczuciem o charakterze negatywnym, nieco podobnym do uczucia lęku. Uczucie lęku wiąże się w świadomości ze sferą wartości seksualnych i ustępuje wraz z przekonaniem, że wartości te nie są podniętą wywołującą tylko „pożądanie seksualne”. Uczucie to jednak również ustępuje, w miarę jak rodzi się uczucie miłości, tak np. u x w stosunku do y . Podobnie też uczucie wstydu wywołane w y przeżyciem pożądania seksualnego skierowanego do x zostaje niejako zatarte w świadomości, o ile łączy się z nim uczuciowy stosunek do tejże x . **Uczucie miłości**, jak widać, **ma moc absorbowania, wchłaniania uczucia wstydu**, moc uwalniania świadomości — i to zarówno świadomości y , jak i x — od odczucia wstydu. **I tym procesem emocjonalno-afektywnym tłumaczy się ów jakże często wypowiedany i sugerowany pogląd, według którego samo „uczucie (miłości) daje prawo do zbliżenia cielesnego oraz do współżycia seksualnego mężczyzny i kobiety”**.

Jest to pogląd błędny, samo bowiem przeżywanie uczucia miłosnego, choćby obustronne (tj. równoczesne po stronie y i x), nie jest jeszcze bynajmniej równoznaczne z dojrzałą miłością woli. Ta bowiem zakłada wzajemny wybór osób (x przez y , y przez x) oparty na gruntownej afirmacji ich wartości i zmierzający do ich trwałego zjednoczenia w małżeństwie, przy czym zostaje jasno ustalony stosunek do rodzicielstwa. **Miłość osób posiada — i winna posiadać — swój wyraźny profil obiektywny**. Miłość jako przeżycie emocjonalno-afektywne posiada często tylko czysto subiektywny charakter, brak jej zaś odpowiedniej dojrzałości pod względem etycznym. Powiedziano już wiele razy, że nie można mieszać samego zużywania „tworzywa” z twórczością w tej dziedzinie ani też utożsamiać doraźnego przeżycia miłosnego z miłością.

Dlatego też owa „absorpcja wstydu przez miłość” **musi mieć znaczenie głębsze, nie tylko emocjonalno-afektywne**. Nie wystarcza samo zniesienie „przeżycia wstydu” przez jakiegokolwiek „przeżycie miłosne”, to bowiem jest właśnie sprzeczne z gruntownie

rozumianą istotą wstydu seksualnego, owszem, w tym się kryje zawsze jakaś forma bezwstydu. (Bezwstyd wygrywa swe „prawa” na samych doraźnych przeżyciach). **Łatwość, z jaką uczucie wstydu ustępuje przed pierwszym lepszym przeżyciem emocjonalno-afektywnym, jest właśnie zaprzeczeniem wstydu i wstydlivosti.** Prawdziwy wstyd ustępuje z trudnością (i dzięki temu nie pozostawia osoby w sytuacji ostatecznie bezwstydu). Prawdziwy wstyd może zostać wchłonięty, zabsorbowany tylko przez prawdziwą miłość — miłość, która afirmując wartość osoby, ze wszystkich sił szuka jej najpełniejszego dobra. Taki też wstyd jest rzetelną siłą moralną osoby. Ponieważ jednak istnieje realne niebezpieczeństwo jego spłynięcia z różnych przyczyn — wewnętrznych (są ludzie jakby mniej wstydlivi „z natury”) oraz zewnętrznych (różnorodne poglądy, style życia i postępowania mężczyzn i kobiet względem siebie w różnych środowiskach lub epokach) — **istnieje przeto potrzeba wychowania wstydu seksualnego.** Potrzeba ta zaś jest najściślej zespolona z wychowaniem miłości, właśnie dlatego, że **tylko prawdziwy, rzetelny wstyd domaga się prawdziwej, pełnowartościowej miłości** na zasadzie rozważonego tutaj „prawa absorpcji”.

Problem bezwstydu

W świetle tego, co powiedziano wyżej na temat wstydu seksualnego oraz na temat absorpcji wstydu przez miłość, spróbujmy spojrzeć jeszcze na **zagadnienie bezwstydu.** Samo słowo „bezwstyd” mówi po prostu o braku wstydu lub też o jego zaprzeczeniu. W praktyce wychodzi to zresztą na to samo. Spotykamy się z różnymi faktami, z różnymi sposobami bycia i postępowania u osób obu płci, z różnymi sytuacjami pomiędzy nimi, które określamy jako bezwstydne, stwierdzając przez to, że nie ma w nich tego, czego domaga się wstyd, że pozostają w kolizji z wymogami wstydlivosti. **Istnieje pewna relatywność w samym określaniu tego, co bezwstydne.** Relatywność ta tłumaczy się różnymi dyspozycjami wewnętrznymi poszczególnych osób, tak więc np. większą lub mniejszą pobudliwość zmysłową, większą lub mniejszą kulturą moralną danej jednostki, nawet takim lub innym światopoglądem. Tłumaczy się ona również różnorodnymi uwarunkowaniami zewnętrznymi, choćby np. klimatem, jak o tym była już mowa, a prócz tego panującymi obyczajami, nawykami zbiorowymi itp.

Jednakże ta relatywność w uznawaniu za bezwstydne poszczególnych objawów życia i obcowania osób różnej płci nie dowodzi bynajmniej, że sam bezwstyd jest czymś względnym, że nie istnieją jakieś czynniki czy też momenty w sposobie bycia i postępowania ludzi, które decydują o nim stale, nawet pomimo tego, że te różnorodne uwarunkowania od wewnątrz i z zewnątrz nakazują różnym ludziom czy też w różnych środowiskach co innego uznawać za bezwstydne (siłą faktu, oczywiście, co innego też uznaje się za wstydlive, czyli zgodne z wymaganiami wstydu seksualnego). Nie chodzi tutaj o to drugie, tzn. o zestawienie różnych poglądów na to, co bezwstydne, a co wstydlive, chodzi natomiast o to pierwsze — mianowicie o uchwycenie momentu wspólnego. Do tego zresztą prowadzą poprzedzające etapy analizy, które mieszczą się w ramach „metafizyki wstydu”.

Wstyd to owa niesłychanie znamienita dążność osoby ludzkiej do ukrycia wartości seksualnych z nią związanych na tyle, aby nie przesłoniły one samej wartości osoby. Dążność ta ma na celu swoistą samoobronę osoby, która nie chce być przedmiotem używania ani w uczynku, ani nawet w intencji, ale chce być przedmiotem miłości. Ponieważ przedmiotem używania może się stać właśnie ze względu na wartości seksualne, powstaje więc dążność do ich ukrycia, na tyle jednak, aby mogły one w połączeniu z wartością osoby stanowić równocześnie niejako punkt zaczepienia dla miłości. W parze z tą formą wstydu, który można określić jako „wstyd ciała”, gdyż wartości seksualne są zewnętrznie związane przede wszystkim z ciałem męskim i kobiecym, idzie druga forma, którą nazywaliśmy

„wstydem przeżycia”, jest to dążność do ukrycia tych reakcji i przeżyć, w których uwydatnia się odniesienie do „ciała i płci” jako do przedmiotu użycia, właśnie z uwagi na to, że ciało i płeć są właściwością osoby ludzkiej, która nie może być przedmiotem użycia. Zarówno jedna, jak i druga forma wstydu może zostać prawidłowo zabsorbowana tylko przez miłość.

Bezwstyd burzy cały ten porządek. **Analogicznie do rozróżnienia wstydu ciała i wstydu przeżyć możemy mówić również o bezwstydzie ciała i przeżyć.** Bezwstydem ciała nazwiemy taki sposób bycia czy postępowania jakiejś konkretnej osoby, w którym wysuwa ona na pierwszy plan samą wartość *sexus* tak dalece, że przesłania istotną wartość osoby. W konsekwencji staje ona niejako w pozycji przedmiotu użycia, w pozycji bytu, do którego można odnieść się używając go tylko (zwłaszcza w drugim znaczeniu słowa „używać”), a nie miłując. **Bezwstyd przeżycia** polega na odrzuceniu tej zdrowej dążności do wstydenia się takich reakcji i takich przeżyć, w których druga osoba okazuje się tylko przedmiotem użycia ze względu na wartości seksualne będące jej własnością. Tak więc np. jakiś konkretny *y* jest bezwstydnym w swych przeżyciach w stosunku do *x*, gdy nie wstydzi się wewnętrznie nastawienia na użycie zmysłowo-seksualne, gdy wysuwa je jako jedyną formę odniesienia do *x*, nie usiłując podporządkować tego nastawienia prawdziwej miłości osoby ani też prawidłowo włączyć go do niej.

Ów wewnętrzny „wstyd przeżycia” nie ma nic wspólnego z pruderią. *P r u d e r i a* bowiem polega na ukrywaniu właściwych intencji w odniesieniu do osób drugiej płci czy też w ogóle do całej dziedziny seksualnej. Człowiek, który uległ pruderii, a kieruje się intencją użycia, stara się stwarzać pozory, że nie chodzi mu o użycie — gotów jest nawet potępiać wszelkie przejawy płci i tego, co płciowe, nawet najnaturalniejsze. Bardzo często zresztą nie mamy tutaj do czynienia z pruderią, która jest pewną formą zakłamania, zafalszowania intencji, ale tylko z jakimś uprzedzeniem czy też z przekonaniem, że to, co seksualne, może być tylko przedmiotem użycia, że płeć daje tylko okazję do wyżywiania się seksualnego, a w żaden sposób nie toruje dróg miłości wśród ludzi. Pogląd taki ma posmak manicheizmu i kłóci się z tym odniesieniem do spraw ciała, i płci, jakie jest znamienne zarówno dla Księgi Rodzaju, jak i — przede wszystkim — dla Ewangelii. Dlatego też prawdziwy wstyd przeżycia nie utożsamia się bynajmniej z aktem pruderii. Wstyd przeżycia to zdrowa reakcja wewnątrz osoby (np. *y*) na takie odniesienie do drugiej osoby (*x*), które pomija jej istotną wartość, a sprowadza ją na pozycję przedmiotu użycia seksualnego. Przeciw takiemu odniesieniu do osoby (do „niewiasty”) protestował Chrystus w znanych i przytoczonych już poprzednio słowach (Mt 5, 28: „*Kto by patrzył na niewiastę, aby jej pożądał [...]*”). Chodziło, jak widać, o akt wewnętrzny. Pruderia łączy się często, a nawet z reguły, z bezwstydem intencji. Jest to coś innego niż bezwstyd przeżycia. Wspomnieliśmy już o relatywności w uznawaniu jakiegoś faktu za bezwstydnym, zwłaszcza faktu zewnętrznego, jakiegoś zewnętrznego sposobu bycia czy postępowania. Osobny problem powstaje, gdy chodzi o uznawanie za bezwstydnym jakiegoś faktu wewnętrznego — sposobu myślenia czy odczuwania wartości *sexus*, sposobu reagowania na nie. Między poszczególnymi ludźmi, żyjącymi nawet w tej samej epoce i w tym samym społeczeństwie, nie zachodzi pod tym względem ścisła korelacja. Nie zachodzi ona zwłaszcza pomiędzy kobietami i mężczyznami. Bardzo często konkretna *x* nie uważa za bezwstydnym np. pewien sposób ubierania się (chodzi o „bezwstyd ciała”), który pewien mężczyzna czy nawet wielu różnych mężczyzn oceni jako bezwstydnym. I na odwrót — jakiś *y* może przeżywać bezwstydnym swój stosunek do kobiety czy też do różnych kobiet (chodzi o bezwstyd przeżycia), chociaż żadna z nich nie dała po temu powodu bezwstydnym sposobem bycia czy postępowania, np. nieprzyzwoitym strojem lub tańcem.

Ogólnie biorąc, istnieje tutaj pewna korelacja: **wstyd ciała jest potrzebny dlatego, że istnieje możliwość bezwstydu przeżyć** zwłaszcza — jak się wydaje — w kierunku od *x* do *y*. I *vice versa* — wstyd przeżyć — potrzebny jest dlatego, że istnieje możliwość bezwstydu ciała (to raczej w kierunku od *y* do *x*). Jednakże trudno uchwycić tę korelację we wszystkich szczegółowych wypadkach. Ale właśnie dlatego należy raczej przyjąć pewne założenia rozszerzające możliwość bezwstydu po jednej i drugiej stronie. Na tym polega **kształtowanie zdrowych obyczajów w dziedzinie współżycia osób różnej płci**, a raczej w różnych dziedzinach ich współżycia. Nie może to jednak mieć nic wspólnego z purytanizmem w dziedzinie seksualnej. Przesada bowiem łatwo wyzwala pruderię.

Wspomnieliśmy już mimochodem o **sprawie s t r o j u czy ubrania...** Jest to jedna z tych spraw szczegółowych, wokół których narasta najczęściej problem wstydu i bezwstydu. Trudno znów wnikać w całą szczegółową specyfikę tego zagadnienia, w niuanse mody kobiecej czy męskiej. Problem wstydu i bezwstydu na pewno łączy się z tą sprawą, chociaż może nie w taki sposób, jak się na ogół mniema. Wiadomo, że strój może się w różny sposób przyczynić do uwydatnienia wartości *sexus*, dodajmy jeszcze: w różny sposób przy różnych okazjach, jeśli nawet abstrahujemy od dyspozycji wrodzonych lub nabytych u danej jednostki. Uwydatnienie wartości *sexus* przez strój jest zresztą nieuniknione i bynajmniej nie musi się kłócić ze wstydem. **Bezwstydne w stroju jest to, co wyraźnie przyczynia się do rozmyślnego przesłonięcia najbardziej istotnej wartości osoby przez wartości seksualne**, co „musi” budzić taką reakcję, jakby osoba ta była tylko „możliwym sposobem użycia” ze względu na *sexus* a nie „możliwym” przedmiotem miłości ze względu na swą wartość osobową.

Zasada jest prosta i oczywista, jej zastosowanie natomiast w konkretnych wypadkach należy już do poszczególnych jednostek oraz do całych środowisk i społeczeństw. **Sprawa stroju jest zawsze sprawą społeczną, jest więc funkcją zdrowego (lub niezdrowego) obyczaju.** Trzeba tylko podkreślić, że jakkolwiek względy natury estetycznej wydają się tutaj decydujące, to jednak nie są one i nie mogą być wyłączne; obok nich i wraz z nimi istnieją względy natury etycznej. Niestety człowiek nie jest istotą tak doskonałą, aby widok ciała osoby, zwłaszcza osoby drugiej płci, budził w nim tylko bezinteresowne upodobanie i w ślad za tym proste umiłowanie tej osoby. W rzeczywistości budzi on również „pożądanie”, czyli chęć użycia, skoncentrowaną na wartościach *sexus* z pominięciem istotnej wartości osoby. I z tym trzeba się liczyć.

Nie znaczy to jednak bynajmniej, ażeby bezwstyd ciała utożsamiał się po prostu i wyłącznie z jego całkowitą lub częściową nagością. **Są okoliczności, w których nagość nie jest bezwstydna.** Jeśli ktoś wykorzystuje ją wówczas jako okazję do potraktowania osoby w roli przedmiotu użycia (choćby w aktach wewnętrznych), to tylko on dopuszcza się bezwstydu (przeżycia), a nie ta osoba. Sama nagość ciała nie jest jeszcze równoznaczna z bezwstydem ciała: **bezwstyd ten zachodzi tylko wówczas, kiedy nagość spełnia negatywną funkcję w stosunku do wartości osoby**, kiedy celem nagości jest budzenie pożądliwości ciała; przez co stawia się osobę w pozycji przedmiotu użycia. Dokonuje się wówczas jakby **depersonalizacja poprzez seksualizację.** Jednakże nie musi to bynajmniej wystąpić. Nawet wówczas, kiedy nagość łączy się ze wspólnym używaniem seksualnym mężczyzny i kobiet, może być w pełni zachowany wzgląd na godność osoby. Tak właśnie winno być w małżeństwie, gdzie istnieją obiektywne warunki do tego, aby dokonała się prawdziwa absorpcja wstydu przez miłość. Wrócimy jeszcze do tej sprawy w rozdziale następnym. W każdym razie bez takiego poglądu na rolę ciała w miłości osób nie można myśleć i mówić o wstydlivości i czystości współżycia małżeńskiego, co stanowi przecież stały wątek nauki katolickiej.

Jakkolwiek bezwstyd ciała nie utożsamia się w prosty sposób z samą nagością ciała, niemniej potrzeba bardzo gruntownego wysiłku wewnętrznego, aby nie odnieść się w sposób bezwstydny do nagiego ciała. Trzeba jednak dodać, że bezwstyd przeżycia nie utożsamia się z samorzutną reakcją zmysłowości, która spontanicznie odnosi się do ciała i płci jako do „możliwego przedmiotu użycia”. Podobnie jak ciało ludzkie samo przez się nie jest bezwstydne, tak też nie jest sama z siebie bezwstydna reakcja zmysłowości czy w ogóle zmysłowość ludzka. Bezwstyd (podobnie jak wstyd i wstydlivość) jest funkcją wnętrza osoby, a w nim funkcją woli, która symplicystycznie przyjmuje reakcję zmysłowości i redukuje drugą osobę poprzez „ciało i płć” do roli przedmiotu użycia.

Skoro już mowa o stroju w związku z zagadnieniem bezwstydu i wstydlivości, to warto może jeszcze zwrócić uwagę na pewną funkcjonalność różnych strojów. Otóż tak jak istnieją pewne sytuacje obiektywne, w których nawet całkowita nagość ciała nie jest bezwstydna, ponieważ właściwą funkcją tej nagości nie jest wywoływanie odniesienia do osoby jako do przedmiotu użycia, tak też z pewnością istnieją różne funkcje różnych strojów, różnych sposobów ubierania się i związanego z tym częściowego obnażania ciała, np. przy pracy fizycznej podczas upału, w kąpeli, u lekarza. Jeśli więc chodzi o moralną kwalifikację tych różnych strojów, to trzeba wyjść od tych różnych funkcji, jakie mają do spełnienia. Kiedy osoba używa takiego stroju w ramach jego obiektywnej funkcji, wówczas nie można w tym widzieć bezwstydu, chociaż strój ten jest związany z częściowym obnażeniem ciała. Bezwstydne natomiast będzie użycie takiego stroju poza jego właściwą funkcją, i tak też musi być odczute. Dla przykładu: nie jest bezwstydem używanie stroju kąpielowego w kąpeli, natomiast jego używanie na ulicy czy choćby na spacerze kłóci się z wymogami wstydu.

Trudno nie poruszyć bodaj pobieżnie innego jeszcze szczegółowego zagadnienia, mianowicie

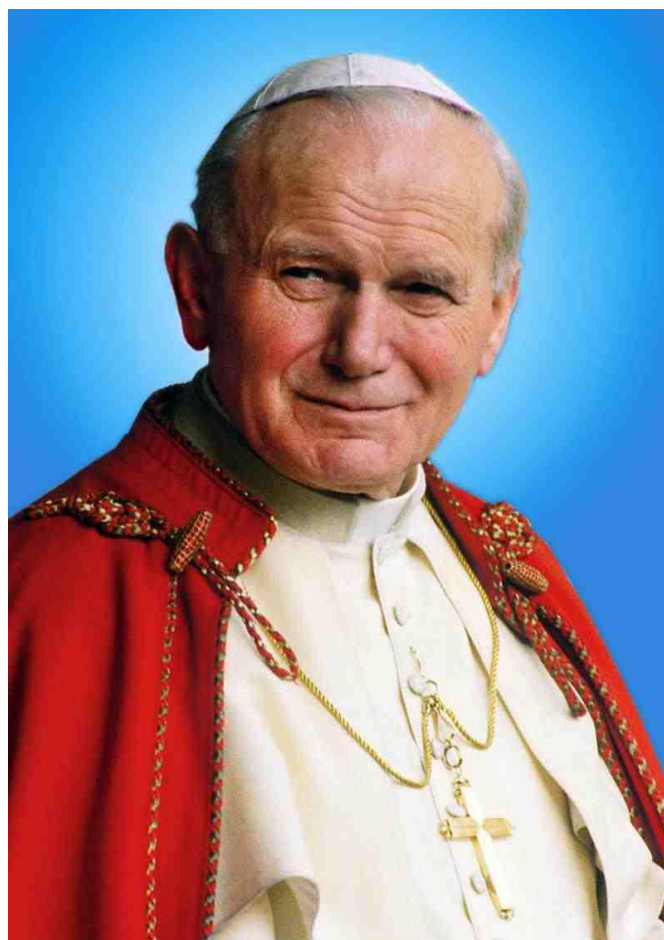
zagadnienia pornografii (czyli bezwstydu) w sztuce. Jest ono rozległe i w szczególności mocno skomplikowane ze względu na bardzo różnorodną specyfikę różnych dziedzin sztuki. Chodzi w tej chwili o uchwycenie istoty zagadnienia. Przez sztukę rozumiemy całą wytwórczość człowieka, a w szczególności artystyczną, np. pisarską czy rzeźbiarską. Artysta komunikuje w swym dziele własne myśli, uczucia, postawy, jakkolwiek dzieło to nie tylko temu służy. Służy ono prawdzie, ma bowiem uchwycić i przekazać jakiś fragment rzeczywistości w sposób piękny. Piękno artystyczne jest najbardziej znamioną właściwością dzieła sztuki. Tym fragmentem rzeczywistości, który bardzo często starają się uchwycić artyści, jest właśnie miłość kobiety i mężczyzny, a w plastyce ciało ludzkie. Dowodzi to pośrednio, jak ważny i atrakcyjny jest ten temat w całości kształceniu życia ludzkiego. **W imię realizmu sztuka ma prawo i obowiązek odtwarzać ciało ludzkie, ma również prawo i obowiązek odtwarzać miłość mężczyzny i kobiety taką, jaką jest w rzeczywistości, mówić całą prawdę o niej.** Ciało ludzkie jest autentyczną częścią prawdy o człowieku, tak jak moment zmysłowo-seksualny jest autentyczną częścią prawdy o ludzkiej miłości. **Błędem będzie, jeśli ta część przesłoni całość.** A nieraz tak właśnie dzieje się w sztuce.

Jednakże istota tego, co nazywamy pornografią w sztuce, leży głębiej. Pornografia to wyraźna tendencja do takiego zaakcentowania w dziele sztuki momentu *sexus* w odtworzeniu ciała ludzkiego czy też w odtworzeniu miłości oraz osób, które ją przeżywają, która to tendencja zmierza do wywołania u odbiorcy tego dzieła, czytelnika lub widza przeświadczenia, iż wartość seksualna jest jedyną istotną wartością osoby, a miłość nie jest niczym więcej jak przeżywaniem czy też współprzeżywaniem tych tylko wartości. Tendencja taka jest szkodliwa, niszczy bowiem całkowity obraz tego ważnego fragmentu ludzkiej rzeczywistości, jaki stanowi miłość kobiety i mężczyzny. Prawda bowiem o ludzkiej miłości leży zawsze w odtworzeniu wzajemnego stosunku osób, bez względu na to, jak bardzo w tym stosunku dominowałyby wartości *sexus*. Tak samo jak prawdą o człowieku jest, iż jest on osobą bez względu na to, jak bardzo w jego ciele uwydatniają się wartości seksualne.

Dzieło sztuki winno wydobyć tę prawdę niezależnie od tego, w jakim stopniu wypada mu dotknąć dziedziny *sexus*, jeśli zawiera tendencję do jej skrzywienia, zniekształca obraz rzeczywistości. Ale pornografia nie jest tylko pomyłką czy błędem, jest tendencją. Gdy zniekształcony obraz zostaje wyposażony w prerogatywy piękna artystycznego, istnieje tym większa możliwość, że przyjmie się on i zaszczerpi w świadomości i woli odbiorców. Wola ludzka wykazuje bowiem w tym punkcie bardzo często wielką podatność na przyjęcie zniekształconego obrazu rzeczywistości.

Jan Paweł II, Mężczyzną i niewiastą stworzył ich (Katechezy środowe, 1979-1984)

Czym jest wstyd i jak tłumaczyć jego nieobecność w sytuacji pierwotnej niewinności, niejako w samej głębi tajemnicy stworzenia człowieka mężczyzną i niewiastą? Z dokonywanych współcześnie analiz wstydu - zwłaszcza wstydu „seksualnego” - trzeba wnioskować o **szczególnej złożoności tego podstawowego przeżycia, w którym wyraża się człowiek jako osoba** we właściwej sobie strukturze. **W przeżyciu wstydu człowiek doświadcza lęku wobec „drugiego ja”** - np. kobieta wobec mężczyzny - a jest to lęk o własne „ja”; człowiek niejako „odruchowo” **wyraża tymże samym przeżyciem potrzebę afirmacji swego „ja”**: akceptacji na miarę istotnej dla niego wartości. Wyraża zaś równocześnie na wewnątrz: w sobie samym, i na zewnątrz: wobec „drugiego”. Można zatem powiedzieć, iż wstyd jest przeżyciem wielorako złożonym także i w tym znaczeniu, że **oddalając niejako człowieka od człowieka** (kobietę od mężczyzny), **szuka równocześnie osobowego ich zbliżenia, ustanawiając dla niego właściwą płaszczyznę i „poziom”**. Przez to samo posiada podstawowe znaczenie dla kształtowania etosu ludzkiego współżycia i obcowania, zwłaszcza w relacji mężczyzna-kobieta. Analiza wstydu wskazuje wyraźnie, jak głęboko jest on ugruntowany właśnie w relacji, *jak ściśle i precyzyjnie wyraża prawidłowości istotne dla „komunii osób”*...



*Na chwałę Trójcy Przenajświętszej,
dla wywyższenia katolickiej wiary i wzrostu chrześcijańskiego życia,
na mocy władzy naszego Pana Jezusa Chrystusa, świętych
Apostołów Piotra i Pawła, a także naszej, po uprzednim dojrzałym
namyśle, po licznych prośbach o pomoc Bożą i po wysłuchaniu
opinii naszych braci w biskupstwie, orzekamy i ogłaszamy świętymi
błogosławionych Jana XXIII i Jana Pawła II, wpisujemy ich
w poczet świętych i polecamy, aby w całym Kościele byli oni czczeni
z oddaniem pośród świętych. W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.*

Papież Franciszek